

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 470.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 5 października 1912. Nr. 40.

Kobiety-szulerki.

(Treść na str. 2).



Nr. 40 „Nowości Illustrowanych" zawiera: Zgon cenionego pisarza. — Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie. — Wizyta ministrów w Galicyi. — Ku czci twórcy polskiego sokolstwa — Wycieczka kolejarzy warszawskich. Nowy protomedyk Galicyi. — Jubileusz 30-letniej pracy Nad świeżą mogiłą. — Nowa Rada powiatowa żywiecka. — Związek teatrów i chórów włościańskich. — Tryumfy polskiego sportu.

Od Administracyi.

Z numerem dzisiejszym zaczynamy **IV-ty** kwartał dziewiątego roku naszego wydawnictwa.

Wszystkich naszych P. T. Prenumeratorów prosimy tedy o rychłe nadsyłanie przedpłaty na czas dalszy, a to celem uniknięcia przerwy w regularnem odbieraniu pisma. Kto bowiem dotąd prenumeraty nie nadesłał, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumeratę **z Galicyi i W. Ks. Poznańskiego** przesyłać należy wprost do **Administracyi** naszego pisma: **Kraków XV., Nowowiejska 83;** prenumerata wynosi już wraz z przesyłką pocztową:

Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. 25 fen.

W Królestwie Polskiem i Ces. Rosyjskiem przyjmują prenumeratę **wszystkie księgarnie** tak w Warszawie, jak i na prowincyi, lub główny zastępca na Królestwo Polskie i Cesarstwo Rosyjskie

Biuro G. Ungra w Warszawie

Aleja Jerozolimska 78.

Prenumerata wynosi:

Kwartalnie 1 Rbs. 80 kop. — z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop.

Kobiety-szulerki.

(Do ilustracyi tytułowej).

Są różne pola, na których kobiety szukają równouprawnienia z mężczyznami. Ostatnie tygodnie przyniosły pod tym względem ciekawe odkrycia, nie bardzo jednak pochlebne dla płci pięknej. Dotychczas zwykle szulerkę karcianą uprawiali mężczyźni, a kobiety pełniły zazwyczaj role kapłanek, które



Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie: Odsłonięcie tablicy pamiątkowej ku czci Skargi na murze Katedry lwowskiej. (Do artykułu na str. 7). (Fot M Münz, Lwów).

broniły ognisk domowych przed ruiną, grożącą im od stolika karcianego.

Obecnie czasy się zmieniły. Szulerkami stają się kobiety, a na stół karciany idą pieniądze, przeznaczone na utrzymanie domu. Roznamiętnienie do gry w karty zaczyna w wielkich miastach wśród kobiet zataczać coraz szersze kręgi. Jaskrawo zupełnie wystąpiła ta sprawa w ostatnich latach w Wiedniu. Potworzyły się naipierw kółka prywatne pań, które z zamiłowaniem zaczęły uprawiać grę w pokera. Z początku kółka te kryły się po domach prywatnych, następnie jednak, za przykładem mężczyzn, kobiety zaczęły grywać w kawiarniach i restauracyach.

Policya wiedeńska zwróciła wnet na te stosunki uwagę, a dochodzenia przeprowadzane rzuciły popłoch wśród szulerek i na pewien czas zaprzestano hazardów.



Zgon cenionego pisarza: Pogrzeb ś. p. Juliana Wieniawskiego (Jordana). (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

Wprowadzono wtedy dwie nowe gry: „bridge“, który przyszedł z Anglii i popularne domino.

Nie na długo jednak nastał spokój. Zarówno „bridge“ jak i domino uznały kobiety za zbyt spokojną i mało denerwującą grę, a ponieważ policya wiedeńska trochę mniej skrupulatnie rzeczy pilnowała, szulerki powróciły znowu do pokera.

Gra hazardowa, uprawiana przez Wiedenki z lepszego towarzystwa w ostatnich miesiącach znowu zaczęła w mieście grasować w zastraszających rozmiarach. Okazało się, że istnieje w Wiedniu szereg kawiarń, które stale służą za przytułek kobietom-graczom. Pieniądze, przynoszone przez mężów na utrzymanie domu, ginęły w tych spelukach. Ostatecznie, kiedy łagodniejsze środki i namowy nie pomogły, mężowie szulerek zrobili doniesienie do policyi, podając zarazem spis lokali, gdzie ich żony się zgrywały. Zrobiono nagłą rewizyę i w jednej z pierwszorzędnych kawiarń wiedeńskich przyłapano całe towarzystwo, złożone z samych pań, przy zielonych stolikach.

Wszystkie te panie będą odpowiadały za swą lekkomyślność sądownie, co może uleczy je z tej zbytniej emancypacyi.

Illustracya nasza przedstawia chwilę, kiedy policya wkracza do kawiarni i aresztuje grające w niej kobiety.



Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie: Przemówienie prezydenta m. Lwowa Neumana podczas odsłonięcia tablicy Piotra Skargi we Lwowie. (Do art. na str. 7). (Fot. M. Münz, Lwów).



Zgon cenionego pisarza: Ś. p. Julian Wieniawski (Jordan).

Zgon cenionego pisarza.

Nieubłagana śmierć znowu wyrwała z pośród żyjących człowieka, nierozerwalnymi węzłami związanego z myślą, sercem i wolą społeczeństwa polskiego. W Warszawie zmarł zasłużony obywatel i ceniony pisarz ś. p. Julian Wieniawski.

Urodzony w r. 1834 jako syn sztabowego lekarza 4 pułku strzelców, spędził dzieciństwo w atmosferze wielkich wspomnień, a kształcił się w sławnym instytucie w Marymoncie, skąd wyszło tylu zasłużonych i wybitnych mężów. Po wypadkach styczniowych wyemigrował za granicę, gdzie oddał się studyom ekonomicznym i finansowym. To też po powrocie z wygnania do Warszawy jął się cichej pracy w Towarzystwie wzajemnego kredytu, pierwszej w Królestwie Polskiem instytucyi finansowej współdzielczej, której też służył do ostatnich niemal lat swego życia.

Czas wolny od zajęć zawodowych ś. p. Wieniawski poświęcał pracy literackiej, z którą jednak przez czas dłuższy się ukrywał. Pisywał pod pseudonimem Jordana i dopiero w r. 1893 stało się wiadomem, że „Jordan“ i otoczony powszechnym szacunkiem prezes najpoważniejszej instytucyi finansowej są jedną i tą samą osobą.

Oprócz popularnych i rozgłośnych „Wędrówek delegata“, „Wspomnień marymonckich“, „Przygód panów Marka i Agapita“, ś. p. Jordan pracował dużo dla sceny. Z utworów scenicznych dość wymienić: „Słomiany człowiek“, „Biaga“, „Polowanko“, „Partya winta“, „Wśród lasu“, wreszcie „Bezkrólewie“, wystawione pod tytułem „Myszy bez kota“, które doczekało się przeszło 50 przedstawień.

Wszystkie utwory Jordana cechował swojski, rodzimy humor oraz głębokie ukochanie ludzi i spraw ojczystych. Choć nie obce mu były literatury zagraniczne, był on pisarzem nawskróś polskim. Był to talent samorodny, wolny od jakichkolwiek wpływów, idący swą własną drogą, a skupiający w sobie ostatnie blaski dawnego humoru staropolskiego. We wszystkich jego utworach przewijało się jednak jako nić przewodnia — głębokie ukochanie polskiej wsi i kraju, któremu ś. p. Wieniawski służył i czynem pracy obywatelskiej i piórem satyryka.

Cześć jego pamięci!

Wycieczka warszawskich kolejarzy.

Czynnikiem, który wielce przyczynia się do zbliżenia wzajemnego ludzi między sobą, są wspólne

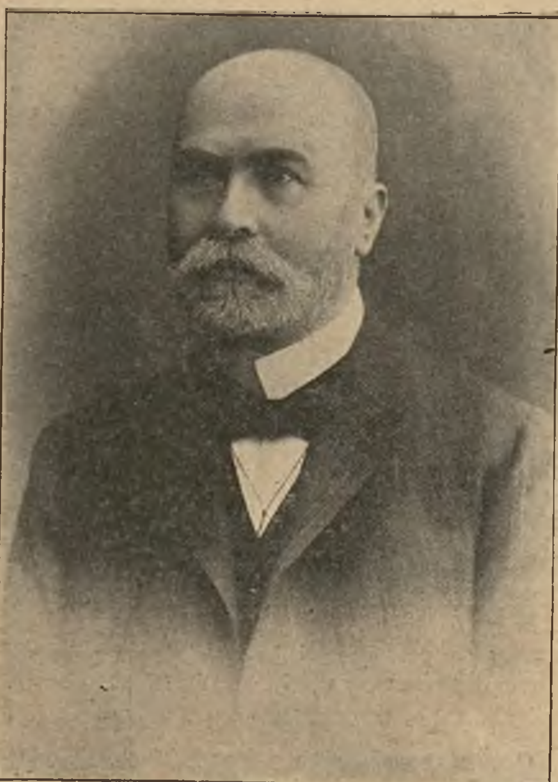


Wycieczka warszawskich kolejarzy: Uczestnicy wycieczki przed pałacem p. Dietricha w Żyrardowie. (Fot. Maryan Fuks, Warszawa).



Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie: Tablica pamiątkowa ku czci Skargi, wmurowana w ścianę Katedry lwowskiej. (Do art. na str. 7). (Fot. M. Münz, Lwów).

organizacye i życie towarzyskie, jakie z ich pomocą się rozwija. Wspólność zawodu częstokroć dopomaga do tego. To też organizacye oparte na gruncie zawodowym wykazują w społeczeństwie zawsze najliczniejszą frekwencyę i stają się ośrodkiem wzajemnego poznania i porozumienia. Jednym



Nowy protomedyk Galicyi: Dr. Zdzisław Lachowicz.

ze środków, którymi organizacye takie cel swój urzeczywistniają, są wycieczki i wspólne zebrania.

Warszawscy kolejarze weszli już dawno na tę drogę, co roku urządzają oni szereg wycieczek cieszących się zawsze wielkiem powodzeniem.

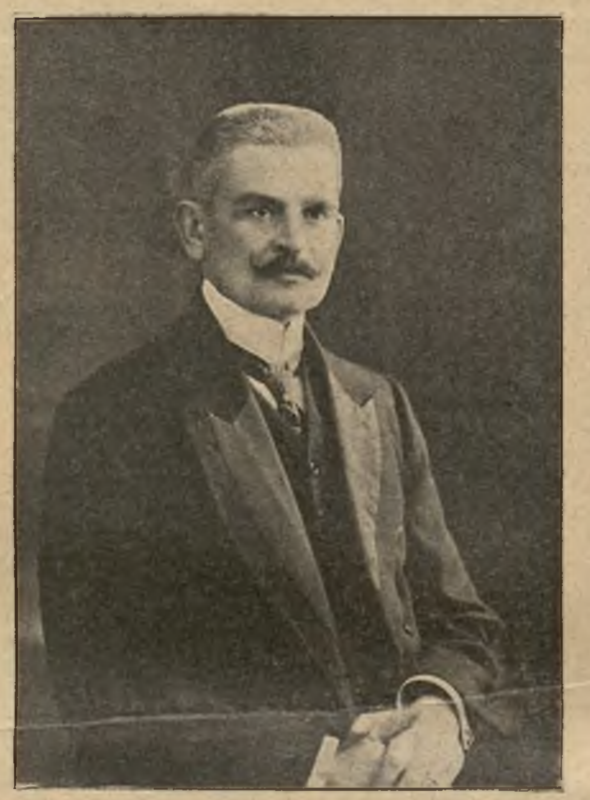
Przed kilku dniami odbyła się właśnie taka zbiorowa wycieczka do Żyrardowa. Brało w niej udział liczne grono warszawskich kolejarzy wraz z rodzinami. W Żyrardowie zwiedzono zakłady fabryczne firmy Hiellego i Diettricha, oraz kościół miejscowy, sklep fabryczny i resursę robotniczą. Wycieczka miała przebieg bardzo wesoły, a przyczyniła się wielce do wzmocnienia węzła wzajemnej solidarności wśród kolerzy.

Nowy protomedyk Galicyi.

Odpowiedzialne i zaszczytne stanowisko protomedyka Galicyi objął w tych dniach dr. Zdzisław Lachowicz, radca sanitarny namiestnictwa. Nowy protomedyk urodził się w r. 1851 w Rzeszowie, a w r. 1875 ukończył medycynę w Krakowie. Po praktyce lekarskiej w Jaworowie wstąpił do służby w namiestnictwie. Był jakiś czas lekarzem powiatowym w Zydaczowie, a w r. 1887 powołany został do Lwowa, gdzie w kilka lat później zamianowany został inspektorem sanitarnym, a w jakiś czas później mianowano go radcą. Zawód swój umiłował bardzo i wyłącznie jemu się oddawał, spełniając gorliwie i sumiennie powierzone mu obowiązki. Rozległa i gruntowna wiedza zjednała mu w sferach lekarskich poważne stanowisko. W wielu ważniejszych sprawach zasięgano jego opinii, którą bardzo ceniono. Towarzystwom lekarskim w Galicyi oddał też dr. Lachowicz znaczne usługi jako dzielny i światły pracownik. Był też długie lata znawcą sądu karnego we Lwowie. Na zaszczytnem i odpowiedzialnem stanowisku protomedyka odda również wielką usługę krajowi.

Jubileusz 30-letniej pracy.

W r. 1901 uczczono we Lwowie literackie zasługi dra Alberta Zippera przy sposobności ćwierć-



Nad świeżą mogiłą: Ś. p. Dr. Jan Jordan, dyrektor kancelaryi Uniwersytetu lwowskiego.
(Fot. M. Münz, Lwów).

wiecza jego pracy na tem polu. Dr. Albert Zipper zajmuje jednak nietylko w literaturze wybitne stanowisko, lecz także jako pedagog zdobył sobie powszechne uznanie. To też obecnie wśród grona byłych uczniów dra Zippera (a jest ich legion) powstała myśl uczczenia także trzydziestolecia jego działalności nauczycielskiej. Jubileusz ten przypadł w ubiegłym miesiącu, gdyż właśnie we wrześniu r. 1882 wstąpił dzisiejszy jubilat w szeregi tych, którzy są powołani, by „nieść oświaty kaganiec".

Dr. Zipper od lat szeregu pełni obowiązki swe zawodowe w II. (t. j. niemieckiem) gimnazyum we Lwowie, jako nauczyciel języka niemieckiego. Sam rozmiłowany w nauce, umie zapał do niej budzić wśród młodzieży; sam gorąco przywiązany do kraju, udziela tego uczucia także uczniom, starając się ukształcić ich na wzorowych obywateli kraju. Umysł jego nawykły do obejmowania szerokich horyzontów myśli, nie zasklepił się w skostniałych, ciasnych



Jubileusz 30 letniej pracy: Dr. Albert Zipper.

formułkach: „z żywymi naprzód iść" jest jednem z haseł nauczycielskiej działalności dra Zippera. A jeśli dodamy jeszcze do tego, że powierzoną swej opiece młodzież otacza prawdziwie ojcowską pieczą, że bez nadmiernej pobłażliwości okazuje jej zawsze serdeczną życzliwość i wyrozumiałość, to zrozumiemy, że w szerokich kołach uczniów dra Zippera myśl uczczenia nauczycielskich zasług tego ukochanego i wzorowego pedagoga spotkać się może tylko z jej najgorętszem przyjęciem.

Zasługi te uznano również „u góry", czego najlepszym dowodem przyznanie drowi Zipperowi wyjątkowo tytułu radcy rządu, jakiego w regule nie nadaje się profesorom.

Dr. Zipper jest od lat wielu także docentem Politechniki.

Mimo wyczerpującej pracy, spełnianej tak gorliwie i sumiennie, że za przykład służyć powinna, zachował dr. Zipper iście młodzieńczą rzeźwość nietylko ducha, lecz także fizyczną. Patrząc na jego różowe zawsze policzki, wobec jego wzroku iskrzącego pełnią życia, wierzyć się nie chce, że tyle lat ciężkich znojów przesunęło się nad tą niespożytą postacią.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy portret zasłużonego pedagoga.



Jubileusz zakładu gimnastycznego dra St. Fiszera w Warszawie: Uczestnicy uroczystości z dr. Fiszerem, jen. Chrzanowskim i red. ks Skimborowiczem w pośr dku.
(Fot. Maryan Fuks, Warszawa).

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

4

— Zaraz się waćpanna dowiesz, dojdziemy i do tego. Nim odpowiedziałem na pytanie opata, co robić w obec tak fatalnego casusa, począłem rozmyślać i zważywszy wszystkie pro i contra, doszedłem mospanie do przekonania, że dla dobra klasztoru i zakonu, należy całą tę szpetną sprawę zachować w sekrecie, bo rozgłoszenie kradzieży żadnego pożytku klasztorowi przynieść nie może, a natomiast szkód wiele. I tak już ludzie oddawna gadali, że w klasztorze są ukryte wielkie skarby, a nawet przed kilku laty rząd szwabski przysłał komisyę, która wypytywała pod przysięgą zakonników o ten skarb i poszukiwania czyniła, ale nic nie znalazła. Opata Niegolewskiego wtedy w klasztorze nie było, pielgrzymował w on czas po cudzych krajach, i dobrze się stało, bo on tylko wiedział o tym skarbie i gdyby mu kazano przysięgać, to musiałby wszystko powiedzieć. A tak chciwe Niemcy nic się nie dowiedziały i on ocalał. Gdyby się więc teraz rzecz cała rozgłosiła, to Niemcy by się do tego zaraz przyczepili i byłby ambaras nie mały, a kto wie nawet, czyby klasztoru nie zamknęli, co u nich nie nowina. A okrom tego, jakiż wstyd, jaka hańba, że w klasztorze krył się złodziej! Tedy rozważywszy wszystko, postanowiliśmy rzecz całą zachować w sekrecie i waćpanna musisz mi tu uroczyście przyrzec, że nikomu o tem, com ci powiedział, słówka nawet nie rzekniesz.

— Juścić — odpowiedziałam — skoro dziadunio sobie życzy, żeby nikomu o tem nie mówić, przyrzekam to uczynić. Nie rozumiem tylko dlaczego mi dziaduś całą tę historyę opowiedział. W takim bowiem razie, jeżeli sekret ma być zachowany, poco mnie było go komunikować?

— Zaraz to waćpannie powiem, gwoli czego wtajemniczyłem cię w tę brzydką sprawę, jeno bądź łaskawa dać mi ognia do fajki, bo mi znowu zgasła.

Z wielką przyjemnością spełniłam to żądanie, bo coraz bardziej zaczynam kochać mego dziadunia, dziwić się jego rzeźkości i przytomności umysłu w tak późnym wieku, choć z drugiej strony poczynam wątpić, czy on rzeczywiście sto pięć lat sobie liczy sobie. Może to jest taka sama próżność, jaką my kobiety mamy, ujmując sobie lat, zwłaszcza w poźniejazym wieku, po trzydziestej wiośnie życia. Ale wróćmy do mego opowiadania. Dziadunio tak dalej mówił:

— Tandem tedy, jakem to waćpannie powiedział, po naradzie postanowiliśmy całą tę haniebną sprawę zachować w jak największym sekrecie, wszelako ja, po namyśle, zaproponowałem, ażeby dla usprawiedliwienia, przed przyszłymi pokoleniami zakonników, utraty skarbu klasztornego, spisać o tem szczegółową relacyę, której jeden egzemplarz ma być zachowany w tajemnej skrytce, gdzie się przedtem skarb mieścił, drugi ma pozostać w ręku księdza opata, a trzeci u mnie jako syndyka i opiekuna klasztoru. Ksiądz opat i profos Justus zgodzili się na to, a zgodzić się nie mogli, boć przecie trzeba przyszłym rządcom klasztoru zostawić jakiś dowód, że nie przez lekkomyślność księdza Niegolewskiego ów skarb tajemny został roztrwoniony, ale przez wypadek, niesłychany zaiste w dziejach zakonu Benedyktyńskiego. Zabrał się tedy ojciec Justus do pisania onego dokumentu, bo mnie już łapa drży i pióra mospanie w żaden sposób utrzymać nie mogę, ksiądz opat zaś nie dowidzi, a przytem tak był zaalterowany, że o porządnem pisaniu nie mogło być mowy. Co prawda i ksiądz Justus nie jest mocny w piórze, wszelako jako młodszy od nas, jako tako, choć szpetnemi kulasami, srodze napociwszy, spisał ów dokument. Idzie teraz o sporządzenie z niego dwóch kopii, czego nie można powierzyć lada komu, i gdym się nad tem biedził, przyszłaś mi asindźka na myśl, i o to właśnie chcę cię prosić. Ty jedna możesz tego dokonać, bo tobie jednej ufam, że rzecz całą zachowasz w sekrecie. Cóż, dobrze?

Zanadto byłam zaciekawiona tą całą sprawą, co do której jakieś głuche, niewytłumaczone przeczucie mówiło mi w głębi mego czułego serca, że jest ona w związku z memi przyszłymi losami, bym nie miała się zgodzić na propozycyę dziadunia. Uradowany tem mocno, uściskał mnie, nazwał najlepszą i najładniejszą ze wszystkich wnuczek na świecie i wręczył mi nakoniec ów dokument, zawierający historyę mnicha Gwidona i kradzieży skarbu świętokrzyskiego. Relacya ta, skreślona w rzeczy samej niemożliwemi nieraz do odczytania hieroglifami, dużo mi czasu i pracy zajęła, ale ostatecznie spisałam z niej dwie kopie, a trzecią pomieszczam tu w moim dzienniku, oczywiście bez wiedzy dziadunia. Dziwna, bardzo dziwna historya, która, nie wiem dlaczego, wstrząsa mną do głębi, budzi złowieszcze obawy i dla nich to właśnie ośmieliłam się nadużyć zaufania dziadunia i relacyę ową dosłownie przepisać w moim pamiętniku. Zapewne, że źle robię, ale fatalna jakaś siła zmusza mię do tego i unosi gdzieś w mglistą i chmurną przyszłość, bo nakoniec któż przeznaczeniu oprzeć się zdoła?

V.

Relacya o mnichu Gwidonie i kradzieży skarbca klasztornego.

†

W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego, Amen!

My Józef Jan Nepomucen z Niegolewa Niegolewski z Boskiego przejrzenia i Świętej Stolicy Apostolskiej łaski Opat Kongregacyi kassyńskiej OO. Benedyktynów klasztoru Świętokrzyskiego, oraz ja Justus na świecie, Gryteniczem zwany, profos tegoż klasztoru, w obliczu okropnego i nigdy niesłychanego nieszczęścia, jakie padło na nasze zgromadzenie, zeznajemy i słowem kapłańskiem potwierdzamy co następuje:

Zebrane skrzętnością i zapobiegliwością świętej pamięci opatów i zakonników klasztoru Świętokrzyskiego, przez długie stulecia pomnażane i nagromadzane skarby, a wynoszące w srebrnej i złotej monecie, oraz w naczyniach złotych i klejnotach, podług specyfikacyi, wręczonej mnie Józefowi Janowi z Niegolewa Niegolewskiemu, obecnemu opatowi klasztoru Świętokrzyskiego, w dniu 20 lutego 1774 roku, przez poprzedniego opata śp. Antoniego Teodora z Karszów Karskiego, ośmkroć sto tysięcy złotych polskich i przeznaczone na konieczne i nagłe wydatki, w razie jakiego, Boże broń, nieszczęścia na klasztor spadłego, zostały w dniu 14 lutego 1809 r. niegodnie i bezwstydnie skradzione przez braci zakonnych Tomasza Gaworowskiego, w zakonie imię Gwidona noszącego, oraz Andrzeja Drozda, w zakonie Hugonem przezwanego, wśród okoliczności następujących:

Piszący te słowa ojciec Justus, profos zakonu o świtaniu dnia 14 lutego 1809 r. przed samem dzwonieniem na jutrznię, ukląkł był, jak to zwykł był codzień czynić, na kurytarzu, prowadzącym do biblioteki klasztornej i oddał się modlitwie gorącej, gdy nagle uwagę jego zwróciło ciche otwarcie drzwi od tejże biblioteki i w nich ukazali się bracia Gwido i Hugo, obciążeni ciężkimi workami, które na plecach dźwigali. Nim ojciec Justus mógł zrozumieć co znaczy to pojawienie się w tak niezwykłej porze i w tem miejscu obu niegodnych braci, już oni go spostrzegli i nie odpowiadając na pytania, szybko koło niego się przemknęli i znikli w korytarzu. Ojciec Justus zdziwiony tem i zaniepokojony mocno, pobiegł co żywo do biblioteki i oto co ujrzał na wielkie swoje przerażenie:

Szafa biblioteczna była na bok usunięta, znajdujące się za nią drzwiczki żelazne z muru wyrwane, drugie drzwiczki dębowe wyłupane i skrzynia żelazna, w której się skarb przechowywał odbita, a z niej pieniądze, klejnoty, naczynia złote i srebrne, oraz różne sztuki złota skradzione, przyczem złoczyńcy w pośpiechu wiele sztuk porozrzucali dokoła tej okropnej ruiny. Ojciec Justus tak straszną, rzec można niesłychaną nigdy, zbrodnią, przerażony zamknąwszy starannie na klucz bibliotekę, pobiegł co żywo do nas opata, do naszego pałacu w Słupi, by nas o tem nieszczęściu i tej klęsce, spadłej na naszą świętą kongregacyą, uświadomić. Nim jednak ojciec Justus zdołał zejść z wysokiej góry klasztornej, nim nas opata zbudzono, ohydni złoczyńcy zdołali ze swym łupem ukryć się. Jak okazało przeprowadzone przez nas śledztwo umknęli oni na zaprzężonej końmi klasztornemi bryczce, w czem dopomódz im miał jakiś człowiek arcy podejrzanej postawy, który poprzedniego dnia kręcił się koło klasztoru i jak niektórzy suponują, należy do bandy zbójeckiej, grasującej w lasach okolicznych, pod naczelnictwem herszta, zwanego Szydło. To wszakże pewne, jak zeznał obecny przy spisywaniu tej relacyi, jaśnie wielmożny pan Michał Dziaduski, podkomorzy sandomierski, że późnym wieczorem tegoż dnia 14 lutego, przybył do jego rezydencyi Zamkowej Woli, rzeczony złoczyńca Gwido, przenocował tamże i nazajutrz świtaniem wyjechał, niewiadomo dokąd. Końmi powoził człowiek, który jednak starannie twarz swą ukrywał, a którym był, suponować należy, albo złoczyńca Hugo, albo ów zbój z bandy Szydła.

Jakimże atoli sposobem obaj złoczyńcy mogli się dowiedzieć o istnieniu skarbu, kiedy w jego zachowaniu, pod pieczęcią przysięgłej tajemnicy, wiedzieliśmy tylko My, opat klasztoru, ojciec profos Justus i przeor ojciec Remigiusz, który od paru niedziel był na kapitule naszej świątobliwej kongregacyi, w klasztorze Tynieckim pod Krakowem się odbywającej? Przeprowadzone przez nas opata i ks. profosa Justusa badanie i oględziny miejsca, w którym dokonaną została ta, wołająca o pomstę do Pana Boga, zbrodnia, suponować każą, że przyczyną jej był prosty, nieszczęśliwy przypadek, trudny do przewidzenia. Oto, jak się rzecz miała:

Jeden z naszych poprzedników na stolcu Opackim, ksiądz Józef Franciszek Michał, trzech imion, z Proszny Pruszyński, w troskliwości swojej, by wśród ówczesnych niepokojów wojennych, wiadomość o skarbcu klasztornym, powierzona trzem tylko ojcom, którzy jako śmiertelni, mogli przy nieustannych napadach na klasztor być zgładzonymi z tego świata (jak tego niestety! przykłady żałosne bywały) i tajemnicy nie przekazać następcom, pomieścił na karcie jednej z ksiąg biblioteki klasztornej napis w mowie łacińskiej takiego tenoru: „pod krzyżem znajdziesz skarb"; na innych zaś kartach tejże księgi: „od zachodu za szafą starą, drzwi żelazne, a drugą szafą, dębowe". Wiadomość o tym napisie była nam znaną, ale nie wiedzieliśmy w której księdze i gdzie się ta księga znajduje, wszelako byliśmy co do tego spokojni, bo od stu lat blisko tajemnicy tej nikt nie wykrył i onego napisu nie czytał. Otóż, kiedyśmy z czcigodnym bratem Justusem do izby bibliotecznej przybyli, księgę tę ujrzeli leżącą na stole, rozwartą właśnie w tem miejscu, gdzie się ten nieszczęsny napis mieścił, i cała sprawa odrazu nam się wyjaśniła.

Na pytanie obecnego przy spisywaniu tej smutnej relacyi, jaśnie wielmożnego pana podkomorzego sandomierskiego, Michała, na Zamkowej Woli, Wiełkach, Olendrad, Paprotni i t. d., Dziaduskiego, dla czego dwaj braciszkowie Gwido i Hugo mieli wolny przystęp do biblioteki, oświadczyliśmy, że biblioteka ta od ostatniego pożaru A. D. 1777, była w wielkim nieładzie i dawno przemyśliwaliśmy nad tem, jakby ją uporządkować, ale w klasztorze nie było braci, którzyby mogli i umieli tem zająć się. Dopiero w ostatnich czasach przekonawszy się, że bracia Gwido i Hugo znają się na księgach, język łaciński *expedite* posiadają i mają świadectwa, jako słuchali różnych nauk w Akademii krakowskiej, polecliśmy im, aby co rychlej zaprzątnęli się około uporządkowania rozrzuconych w nieładzie woluminów. Na nieszczęście, co uważać musimy za widoczną karę Bożą, spuszczoną na nas za nasze grzechy, natrafili oni na ową fatalną księgę i ów napis przeczytali i do skarbca się dostali, by go bezwstydnie, bezbożnie i haniebnie okraść.

Na pytanie tegoż jaśnie wielmożnego podkomorzego sandomierskiego, skąd się wziął w naszym klasztorze ów złoczyńca Gwido, co wiemy o jego przeszłości i dlaczego wbrew regule zakonnej nosił on, jak żyd jaki, brodę, oświadczyliśmy, że w klasztorze Gwido wcale brody nie zapuszczał, choć kilkakrotnie zanosił on o to do nas prośbę, tłumacząc, że cierpi nieznośny ból zębów, ale zawsze i statecznie propozycyę tę jego odrzucaliśmy. Jeżeli tedy wieczorem dnia 14 lutego zjawił się w Zamkowej Woli, w rezydencyi JW. Podkomorzego z piękną, bujną, czarną brodą, to suponować należy, że ją sobie przyprawił, a dla niepoznaki uczynił ze swej fizys bezecną maszkarę.

Co się za styczy przeszłości Gaworowskiego, Gwidonem przezwanego, to oznajmiliśmy, że niewiele o niej wiemy. Powiedział on nam, że jest szlachcicem z województwa niegdyś krakowskiego, że posiada znaczne majętności, gdzieś tam kole Kalwaryi Zebrzydowskiej, że powodem jego wstąpienia do naszej świątobliwej kongregacyi, są jakieś srogie nieszczęścia i zawody, które go miały spotkać, a które miał nam w przyszłości wyznać na świętej spowiedzi; i obiecywał, że jeżeli wytrwa w swym zamiarze, to majętności te zapisze darem wieczystym naszemu klasztorowi. Zgłosił się on naraz do furty klasztornej w listopadzie roku zeszłego, późnym wieczorem, w czasie nocy burzliwej i wietrznej, wszędzie strasznej dla podróżnych, a cóż dopiero na naszej skale i wśród naszych borów. Przybył pieszo, przemoknięty, zziębły i głodny i pro-

sił o schronienie. Reguła nasza nakazuje nam przyjmować i ugaszczać podróżnych, więc chętnie go przyjął, a po parudniowym pobycie przybysza, usprawiedliwionym nieustanną słotą i wiatrami, oświadczył on chęć pozostania na zawsze w klasztorze. Ojciec przeor uwiadomił nas, opata o tem i my, kazawszy do siebie wezwać przybysza, wybadaliśmy go pilnie. Okazał on nam papiery, jako był uczniem Akademii krakowskiej i różne scyencye posiada, zgodziliśmy się go ostawić w klasztorze na próbę, nie obowiązując się wcale do tego, byśmy go mieli zaliczyć do naszej kongregacyi. On sam zresztą nie mógł na pewno powiedzieć, czy wytrwa w swem postanowieniu. A że okazał się człowiekiem obznajomionym z naukami, więc poleciliśmy mu uporządkować bibliotekę klasztorną, do czego on sobie obrał kleryka Drozda, noszącego zakonne imię Hugona. Nie przypuszczaliśmy niestety, że wpuściliśmy wilka do owczarni. Ale niech się dzieje święta wola Boża, której drogi dla ludzkiego rozumienia są niezbadane.

Oto jest wierna relacya straszliwego nieszczęścia, które spotkało nasz klasztor, i której prawdziwość stwierdzamy naszymi podpisami przy położeniu naszej pieczęci opackiej.

Dan w Klasztorze Świętokrzyskim d. 15 Februarii A. D. 1809.

Józef Jan Nepomucen z Niegolewa Niegolewski,
z Bożego przejrzenia i Świętej Stolicy Apostolskiej łaski, Opat Świętokrzyski m. p.

Ks. Justus,
profos klasztoru Swiętokrzyskiego wł. r.

Michał Kleofas Nieczuja Dziaduski,
bywszy podkomorzy Sandomierski m. p.

VI

Dalszy ciąg dziennika Julii.

Zamkowa Wola d. 23 Marca 1809.

Godz. 10 rano. Takim jest ten straszny, przerażający dokument, niesłychanego świętokradztwa, dokonanego przez mnicha Gwidona Gaworowskiego. Już teraz przypuszczenie Hortensyi, że pod postacią zakapturzonego zakonnika, ukrył się kawaler Thomas, by dostać się do „zaklętego zamku", jak miejsce mego pobytu taż moja przyjaciółka nazywa, żeby zobaczyć swą niemniej zakletą księżniczkę, jest prostą niedorzecznością. Ale co za podobieństwo, Boże mój, co za podobieństwo! Gdybym tego niegodnego Gwidona ujrzała bez brody (choć przyznać muszę, że jest prześliczna i lśni się w swej czarności, jak skrzydło kruka), w stroju szwoleżera gwardyi, nigdybym nie wątpiła, że mam przed sobą pięknego i rycerskiego kawalera Dolabellę. A jednak, pod tą piękną postacią Gwidona, przez dziwny i niewytłumaczony kaprys natury, tak podobną do szlachetnej i rycerskiej figury kawalera Dolabelli, jakże brzydkie, jak małe i poziome serce się kryje! Natura istotną igraszkę sobie zrobiła. W duszę kawalera Dolabelli zaszczepiła wszystkie szlachetne i podniosłe uczucia i przymioty, a w duszę Gwidona wszystkie poziome i nikczemne instynkta. Podobni do siebie ciałem, jakże się różnią duszą!

Ale to podobieństwo przypomniało mi inne, niemniej zadziwiające i tajemnicze, podobieństwo moje do portretu jednej z moich prababek, wiszącego w korytarzu, i zwanego „cieniem". Przypomina mi zarazem słowa listu Hortensyi, abym nie tracąc czasu zobaczyła nazwisko malarza tego obrazu, umieszczone na jego stronie odwrotnej. Wprawdzie dziadunio mówił, że każe wyskrobać to nazwisko, ale przypuszczam, że wobec historyi kradzieży skarbu świętokrzyskiego, która go tak wyłącznie zajęła, zapomniał o tym zamiarze i nazwisko to dotąd istnieje. Hortensya, która ma umysł w rzeczy samej bardzo przenikliwy, pisze, że odczytanie tego nazwiska wiele mi rzeczy wyjaśni; więc mocno żałuję, żem zaraz po odebraniu tego listu nie pobiegła na korytarz dla zbadania portretu, bo nuż dziadunio nazwisko malarza kazał wyskrobać! Ale nie róbmy szkodliwych przypuszczeń, może jeszcze jest czas i owo nazwisko dotąd istnieje na swojem miejscu. Nie sądzę jednak, ażebym znalazła tam wyjaśnienie otaczających mię tajemnic, jak to Hortensya mniema, wszakże dla uspokojenia siebie, uczynić to postanowiłam dziś wieczór, jeżeli sposobność po temu się ukaże.

Jakoś sposobność taka się znalazła. Sporządziwszy dwie kopie relacyi księdza opata świętokrzyskiego (a raczej trzy, bo trzecia znajduje się tutaj w moim dzienniku), co mi cały dzień wczorajszy zajęło i namozoliłam się niemało nad odczytywaniem „kulasów" księdza Justusa (co za dziwaczne imię!), z kopiami temi w ręku udałam się dziś rano do dziadunia i wręczyłam mu je przy śniadaniu. Bardzo się ucieszył, nazwał mię po raz wtóry najlepszą i najładniejszą ze wszystkich wnuczek w koronie polskiej, ucałował mię i uściskał, chwalił charakter mego pisma, i zamknąwszy starannie jeden z tych odpisów w swym kantorku, kazał sobie konia osiodłać i z dwoma innymi odpisami popędził do klasztoru. Na odjezdnem rzekł do mnie:

— Ten hultaj Gwido może myśli, że mu ta bezecna zbrodnia płazem ujdzie. Da Bóg, może dostanie się on w moje ręce, o co mocno się postaram, a wtedy ciężko odpokutuje za swoją zbrodnię.



Drugie drzwiczki dębowe wyłupane...

Nie pytałam dziadunia, w jaki sposób myśli Gwidona schwycić w swe ręce, bo szczerze mówiąc, nie wiele mnie to obchodzi, a przy tem nie było czasu potemu, bo dziadunio, przybrawszy się w czamarę futrem podbitą, śpieszył do stojącego konia przed gankiem, ja zaś zajęta byłam wyłącznie moim zamiarem, zbadania teraz, podczas nieobecności pana zamku, odwrotnej strony portretu pani chorążyny Dziaduskiej, która miała plamę rzucić na to szlacheckie nazwisko. Już sama ta okoliczność zaciekawia mię mocno, każe przypuszczać, że jakaś romantyczna historya pod tem się kryje, jakiś może romans w guście Nowej Heloizy pana Rousseau, rozsnuty na tle barbarzyńskiej Polski. Lecz rzućmy pióro; dziadunia niema, Zuzia, którą pierwotnie zamierzałam użyć do pomocy w zdjęciu ze ściany obrazu „cieniem" zwanego (bo bądź, co bądź, jakaś obawa zakonna mię przejmuje), ale po namyśle zamiar ten porzuciłam, zajęta jest sprzątaniem w mej sypialni, cała służba jest na dole, chwila jest najodpowiedniejsza, nikt mi nie przeszkodzi. Więc idźmy!

Tegoż dnia, godz. 1 po południu. Drżę cała. Anim się spodziewać mogła jakich dziwnych, nawet strasznych rzeczy się dowiem, jak dalece rzeczywistość przewyższa wszystko, co poetycka wyobraźnia romansopisarzów wymarzyć mogła. Czemu poszłam za radą Hortensyi? czyż nie lepiej było pozostać w nieznajomości dziejów tego okropnego portretu?

Gdy o tem myślę i zastanawiam się, głowa mię boli i serce tak bije w piersiach, że muszę przestać pisać i uspokoić się nieco.

Tegoż dnia, w nocy. Kiedym zasiadła do skreślenia wypadków dnia dzisiejszego, zegar na baszcie zamkowej wydzwonił północ. Spiżowy dźwięk jego drży jeszcze w powietrzu, wielka cisza dokoła mnie panuje i tylko wiatr jęczy po korytarzu, po którym może duch nieszczęsnej mojej praprababki się słania. Ale jestem zupełnie spokojna. Całe popołudnie dużo myślałam, przebolałam jeszcze więcej i nakoniec zdołałam ukoić moje rozdrażnione nerwy. Jestem teraz ich panią i mogę opisać dokładnie wszystko to, co mi się dziś przytrafiło.

Spełniając moje postanowienie, będąc pewną, że mi nikt nie przeszkodzi, ruszyłam na korytarz zamkowy, gdzie zawieszone były portrety panów i pań Dziaduskich, i gdzie mieścił się także tajemniczy obraz, zwany „cieniem". W korytarzu tym panuje zawsze półmrok, bo oświeca go tylko jedno duże okno ostrołukowe i podług mego mniemania, jest to zabytek pierwotnej budowli tego starożytnego i posępnego zamczyska. W tem półświetle zakute w żelazo postacie rycerzy, dumnie wsparte na rękojeściach swych mieczy, zdawały się groźnie patrzyć na mnie i ruszać wąsami; matrony w czepcach na głowach, kornem rąk złożeniu, spoglądały na wątłą, nowoczesną figurę swej praprawnuki, która szła przez korytarz z pewną trwogą zabobonną, a każde skrzypnięcie posadzki pod jej nogami, nabawiało ją przestrachu. Przypominałam sobie legendę, krążącą po zamku, jakoby w pewnych godzinach, oczywiście nocnych, „cień" schodzi z obrazu i z jękiem przebiega po krużganku. Ale, że dzień był widny, wiatr nieustannie szalejący w tych górskich stronach, na chwilę ucichł, więc nabierałam otuchy, i gardząc gminną powieścią, szłam śmiało. Portret pani chorążyny mieścił się w końcu korytarza i nakoniec zatrzymałam się przed nim.

Nigdy nie przypatrzyłam mu się dobrze, bo jak powiadam, wskutek dziwacznej nazwy i legendy do niego przywiązanej, budzi on we mnie pewną obawę, a nawet odrazę; teraz wskoczyłam na jednę z ław, spłowiałym aksamitem karmazynowym krytych, i ustawionych wzdłuż ścian i bacznie zaczęłam oglądać wszystkie szczegóły tego osobliwszego obrazu. O ile moja znajomość malarstwa pozwala mi sądzić, jest to dzieło niewątpliwie znakomitego pendzla, ale pojęte i wykonane z jakąś dziwaczną, rozczochraną fantazyą. Na ponurem tle, rozświeconem, jakby krwawym blaskiem zachodzącego słońca, czy też łuną pożaru dalekiego, artysta umieścił głowę pani chorążyny, głowę wykończoną ze szczególną drobiazgowością i naprawdę uderzająco podobną do mnie. Ta tylko różnica jest między mną, a moją praprababką, że ja liczę lat ośmnaście, a ona, gdy ją portretowano, musiała mieć co najmniej dwadzieścia kilka, była pełną, uśmiechniętą zalotnie, ale w oczach czarnych i ognistych, moich oczach, dziwny przebijał się smutek, jakby żal, czy tęsknota za czemś, może za kimś. Reszta postaci rozpływa się w jakiejś niezdecydowanej mgle, zaledwie konturami szaremi oznaczona, jest w rzeczy samej tylko cieniem istoty żywej, niemniej przeto fantastycznej, jakby z przędzy babskiego lata utkanej. Swoją drogą, obraz tak dziwacznie pojęty i wykonany, robi niezwykłe, przejmujące duszę do głębi wrażenie. Dlaczego malarz tak, a nie inaczej sportretował panią chorążynę, w tej chwili zrozumieć nie mogę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie.

Uczczenie pamięci ks. Piotra Skargi wypadło w Krakowie bardzo wspaniale.



Wizyta ministrów w Galicyi: Ministrowie zwiedzają we Lwowie Politechnikę. (Fot. M. Münz, Lwów).



Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie: Trybuna dla dygnitarzy na miejscu poświęcenia kamienia węgielnego pod dom dla młodzieży rękodzielniczej.

Z całej Polski pospieszyli wybitni przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa, aby oddać hołd pamięci tego wielkiego myśliciela i polityka. Zjazd katolicki, który stanowił główną oś uroczystości, miał przebieg poważny, a w obradach brało udział około 2000 osób.

Główne uroczystości przypadły na dzień jubileuszowy t. j. piątek 27 września.

Rano w kościele św. Piotra u grobu ks. Skargi celebrował ks. biskup Sapieha uroczystą mszę żałobną, w czasie której podniosłe kazanie wypowiedział ks. arcybiskup Teodorowicz.

Na ulicach Krakowa sformował się tymczasem olbrzymi pochód, w którym wzięły udział wszystkie stowarzyszenia i organizacye krakowskie, uczniowie i uczennice wszystkich zakładów naukowych, przedstawiciele Uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademii Umiejętności, Rady miasta Krakowa i t. d. Pochód przeszedł przez ul. Grodzką, Rynek, ul. Floryańską, Basztową, Dunajewskiego i Krupniczą. Domy w mieście były ozdobione flagami o barwach narodowych, zaś okna ubrane nalepkami Skargowskimi.

Najpierw zatrzymał się pochód w ul. Siennej, gdzie na domu Banku Pobożnego odsłoniętą została tablica pamiątkowa, ufundowana przez Arcybractwo Miłosierdzia, założone przez ks. Skargę i Tow. miłośników Krakowa. Przy odsłonięciu tablicy gorącą mowę wypowiedział starszy Arcybractwa ks. prałat Wądolny.

Następnie pochód ruszył na koniec ul. Krupniczej, gdzie na t. zw. Rejówce odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod żywy pomnik imienia ks. Skargi, mianowicie pod budowę domu



Po uroczystościach Skargowskich w Krakowie: Przemówienie ks. biskupa Sapiehy w czasie poświęcenia kamienia węgielnego pod żywy pomnik im. ks. Skargi.



Grupa uczestników podróży ministrów po Zagłębiu Krakowskiem z posłem Zarańskim w pośrodku.



Wizyta ministrów w Galicyi:
Ministrowie zwiedzają kopalnie węgla w Brzeszczach.



Przedstawiciele górnictwa, którzy witali ministrów w Brzeszczach.

dla młodzieży rękodzielniczej. Pomnik ten powstał dzięki ofiarności publicznej i stanowić będzie w przyszłości ognisko, skupiające młodzież rękodzielniczą całego Krakowa.



Wizyta ministrów w Galicyi: Ministrowie na Uniwersytecie we Lwowie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Plac, na którym gmach ma stanąć, ubrany był festonami i sztandarami. Na olbrzymiej trybunie zasiedli zaproszeni goście, cały plac zaś wypełniły tłumy ludzi. Poświęcenia kamienia węgielnego dopełnił ks. biskup Sapieha, poczem przemówił do zebranych. Przemawiali jeszcze wiceprezydent miasta Krakowa, Szarski, reprezentant młodzieży i inni.

Arcybractwo Miłosierdzia, chcąc uczcić pamięć swego założyciela wydało w tym dniu z swego banku zastawniczego wszystkie zastawy ubogiej ludności, zastawione za 1—2 K oraz rozdało 500 chlebów.

Popołudniu odbyła się uroczysta Akademia Skargowska w „Sokole“ krakowskim, wieczór zaś czcił pamięć Skargi teatr miejski nadzwyczajnem przedstawieniem.

Oprócz Krakowa, gdzie odbyły się główne uroczystości, podobne obchody odbyły się także we Lwowie, Warszawie, Łodzi, Przemyślu i innych licznych miastach Polski.

Wizyta ministrów w Galicyi.

Po zwiedzeniu Zagłębia krakowskiego i zakładów przemysłowych krakowskich, ministrowie Długosz i Trnka wyruszyli dalej na wschód Galicyi, zwiedzając po drodze ważniejsze budowy i przedsiębiorstwa przemysłowe galicyjskie. Najpierw zwiedzili ministrowie port w Nadbrzeziu, następnie byli gościnnie podejmowani przez ks. Lubomirskiego w Przeworsku, gdzie zwiedzali fabrykę cukru.

Z Przeworska przybyli ministrowie do Lwowa. Wizyta ta ma bardzo doniosłe znaczenie, spowodować ona może bowiem nareszcie zmianę na lepsze w sprawie budowy nowego gmachu uniwersytetu lwowskiego. Ministrowie byli podejmowani przez prezydenta m. Lwowa, Neumana, namiestnika dr. Bobrzyńskiego i marszałka krajowego.

Następnie zwiedzili ministrowie gmach uniwersytetu lwowskiego. Na przemowę rektora Becka odpowiedział min. Długosz, że minister skarbu zgodził się na wstawienie do budżetu 3.700.000 kor. i polecił rozpisanie konkursu na budowę nowego gmachu uniwersyteckiego.

Ministrowie oglądali także inne gmachy publiczne we Lwowie, jak instytut geologiczny, akademię weterynaryi, technikę, dom Ligi Pomocy Przemysłowej i inne.

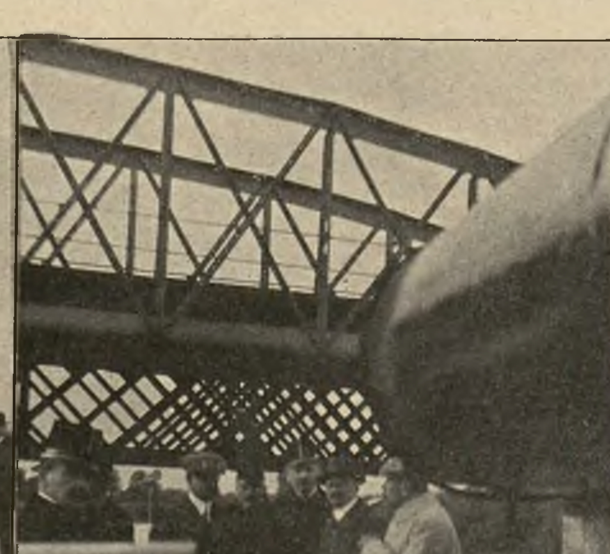
Po dwudniowym pobycie we Lwowie, ministrowie wyjechali do Borysławia i Drohobycza, stamtąd zaś udali się na Bukowinę.

Ważność tej wycieczki ministeryalnej polega na tem, że zarówno min. Trnka jak i szereg szefów sekcyi, którzy mają w swoim zakresie żywotne sprawy Galicyi, przekonali się na miejscu o istotnym stanie rzeczy i mogą w Wiedniu już nie na podstawie referatów, ale na podstawie zebranego na miejscu doświadczenia potrzeby nasze oceniać, co z pewnością na naszą wyjdzie korzyść.

Illustracye nasze przedstawiają szereg momentów z pobytu ministrów w Zagłębiu krakowskiem i we Lwowie.



Przy budowie kanałów w Brzeźnicy.



Wizyta ministrów w Galicyi:
Na statku na Wiśle.



Zwiedzanie robót regulacyi Wisły.

Kurs wypychania i konserwacyi zwierząt w Golcowy.

Jako znamienny i doniosłego znaczenia objaw przyjęła z radością ludność powiatu brzozowskiego urządzanie kursów dla dalszego kształcenia nauczycieli staraniem inspektora szkolnego okręgowego p. Józefa Lorenza, który w kilkuletnim zaledwie okresie czasu pracą, energią i prawością charakteru zdołał zaskarbić sobie nietylko głęboki szacunek podwładnego nauczycielstwa, lecz równocześnie także uznanie i poparcie c. k. Rady szkolnej krajowej, w szczególności zaś krajowego inspektora szkół p. radcy Kazimierza Bruchnalskiego.

Dzięki gorliwym zabiegom p. Lorenza oraz silnemu poparciu p. radcy Bruchnalskiego, Rada szkolna krajowa, udzielając wydatnej pomocy materyalnej, zezwoliła w krótkim stosunkowo czasie na otwarcie trzech kursów, a to ogrodniczo pszczelniczego dla nauczycieli powiatu w kwietniu i maju 1911, w Brzozowie, takiego samego w Starej wsi w kwietniu 1912. dla 15 inspektorów okręgowych, wreszcie obecnie, pierwszego w swoim rodzaju kursu wypychania i konserwacyi okazów zoologicznych przy szkole 4 klasowej w Golcowy.



Kurs wypychania i konserwacyi zwierząt w Golcowy: Grupa uczestników kursu.
(Fot. L. Gottdank, Sanok).

Nowa Rada powiatowa żywiecka.

Powiat żywiecki, umieszczony na zachodnich kresach Galicyi, wyróżniający się od innych zachodnich powiatów galicyjskich dosyć znacznym rozwojem przemysłu i rolnictwa, obchodził dnia 19 września b. r. bardzo ważną dla siebie uroczystość otwarcia nowo wybranej Rady powiatowej.

Nowa Rada zebrała się na posiedzenie w pięknym gmachu własnym. Otworzył je marszałek powiatowy dr. Wiktor Idziński i wygłosił obszerną programową mowę. Mowa ta wzbudziła silny zapał u członków Rady powiatowej, która wzięła się odrazu do obrad nad wykonaniem przedstawionego programu.

Powiat żywiecki pokłada wielkie nadzieje w pracy nowego marszałka, który nie tylko jako lekarz zyskał znaczną popularność w całym powiecie i w czasie 16 letniego kierownictwa tamtejszego szpitala przyczynił się do znacznego jego podniesienia ale i przez, swoją działalność obywatelską zwłaszcza na polu podniesienia Kółek rolniczych, w komitecie budowy kolei Żywiec-Kęty-Oświęcim i jako prezes wystawy przemysłowo-rolniczej, dał już dowody swej energii i daje najlepszą rękojmię, że powiat żywiecki podniesie się znacznie w najbliższej przyszłości, tak na polu ekonomicznem i narodowem, jak i kulturalnem.



Kurs wypychania i konserwacyi zwierząt w Golcowy: Uczestnicy kursu przy pracy.
(Fot L Gottdank, Sanok).

Zgon zasłużonego obywatela.

Przed kilku dniami zmarł we Lwowie po dłuższej chorobie dyrektor „Związku ochotniczych straży pożarnych“ Antoni Szczerbowski. Postać to znana i ceniona w całej Galicyi. Ukochawszy ideę „stra-



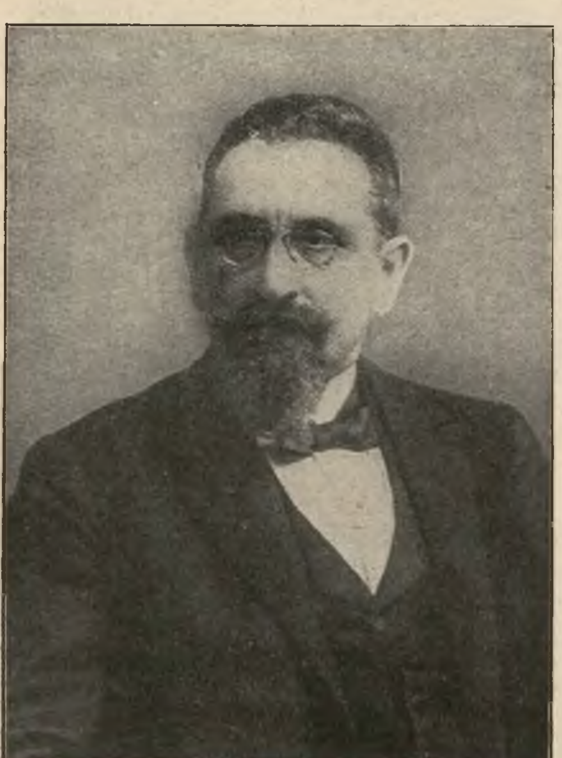
Nowa Rada powiatowa żywiecka: Marszałek żywieckiej Rady powiatowej dr. Wiktor Idziński.



Nowa Rada powiatowa żywiecka: Grupa uczestników rautu, wydanego przez marszałka Rady powiatowej żywieckiej w dniu jej otwarcia.

żacką", jej całą swą pracę i zdolności poświęcił. Przy pomocy innych dzielnych obywateli jak ś. p. Adam ks. Sapieha lub dyr. Zgórski, podniósł i rozwinął u nas ideę strażacką, teoretycznie i praktycznie wskazując drogę strażackim organizacyom. Można powiedzieć, że to, co dla podniesienia organizacyi straży ogniowej zrobiono na ziemiach polskich w ostatnich dziesiątkach lat, jest w wielkiej mierze dziełem ś. p. Szczerbowskiego. Jako redaktor „Przewodnika pożarniczego" pisał bardzo wiele, wydając podręczniki dla straży, uczył na kursach, przeprowadzał lustracye, słowem wszędzie nie tylko zachętą ale i czynem krzewił ideę strażacką.

Pogrzeb ś. p. Szczerbowskiego zgromadził we Lwowie ogromną ilość delegatów straży pożarnych



Zgon zasłużonego obywatela: Ś. p. Antoni Szczerbowski, dyr. kraj. Związku strażackiego.

z całego kraju. Przed domem żałoby pożegnał zmarłego prezes Związku, dr. A. Zgórski, poczem zwłoki odprowadzono na cmentarz Łyczakowski, gdzie nad grobem przemawiał p. Kostrzewski.

Illustracye nasze przedstawiają kondukt żałobny przed domem zmarłego, oraz portret ś. p. Szczerbowskiego.

Związek teatrów i chórów włościańskich.

W szeregu oświatowych instytucyi polskich, których terenem działania jest Galicya, poważne miejsce zajmuje „Związek teatrów i chórów włościańskich". Założony przed pięciu laty przez grono ludzi z dr. Gargasem na czele, „Związek" rozwijał dotąd ożywioną działalność po wsiach głównie, organizując teatry ludowe ku rozrywce chłopa i dla potęgowania jego samowiedzy narodowej, zwłaszcza na kresach wschodnich. Do „Związku" należy dzisiaj 134 teatrów włościańskich, które w ciągu roku urządzają przeszło 700 przedstawień i narodowych obchodów. Teatrom przez się organizowanym dostarcza „Związek" wyborowych sztuk, nadto zaopatruje je z bogatej swej szatni w kostyumy i potrzebne rekwizyta. Na stałego instruktora nie mógł się „Związek" dotąd zdobyć z powodu braku funduszów, rad fachowych udziela atoli w „Poradniku teatrów i chórów włościańskich", który jest organem Towarzystwa. „Poradnik" obok artykułów wskazanych już tytułem pisma rejestruje pilnie dzieje teatru ludowego w ogólności, szczególnie zaś zajmuje się teatrem polskim, nadto ogłasza utwory oryginalne oraz prowadzi skrupulatnie „przegląd sztuk do grania". Wobec braku odpowiedniego repertuaru sztuk ludowych wydaje „Związek" bibliotekę teatrów i chórów włościańskich, w której pojawiło się dotąd 18 utworów dramatycznych, przeznaczonych na scenę amatorską.



Zgon zasłużonego obywatela: Pogrzeb A. Szczerbowskiego we Lwowie, przemawia z balkonu dr. Zgórski (X). (Fot. M. Münz, Lwów).

W łonie „Związku" pracują dwie komisye: komisya rekwizytów, której zadaniem jest troska o szatnię i komisya literacka. Komisya literacka, na której czele stoi znana w dziedzinie twórczości ludowej autorka, p. Marya Bruchnalska, zajmuje się sceną i wyborem sztuk dla ludu odpowiednich oraz przygotowaniem materyału dla wydawanej przez „Związek" biblioteki.

Przewodniczącym „Związku" jest obecny dziekan wydziału filozoficznego Uniw. lwowskiego prof. dr. Wilhelm Bruchnalski, którego niestrudzonej energii „Związek" w znacznej mierze zawdzięcza swój rozwój. Administracya Towarzystwa spoczywa w ręku długoletniego sekretarza „Związku" p. Adama Piątka, który idei jego z całym zapałem i poświęceniem się służy. Redaktorem „Poradnika" był dotychczas prof. Zwilling Łoziński. Obecnie, z powodu wyjazdu ostatniego za granicę, stanął na czele pisma p. Witold Bełza.



Związek teatrów i chórów włościańskich: Członkowie komisyi literackiej. Siedzą (od strony lewej ku prawej): I. Mrozowicka, Bolesławowicz, Z. Rzepecka, M. Bruchnalska, przewodnicząca Komisyi, Z. Mrozowicka, prof dr. W. Bruchnalski, prezes „Związku", M. Znatowiczówna; stoją (od lewej ku prawej): Józef Jedlicz, A. Piątek, sekretarz „Związku", W. Bełza redaktor „Poradnika" E Zwilling-Łoziński, dr. Mączewski, J. Starklówna, St. Pilch, Fran. Kruczkowski, J. Bartosiński, skarbnik „Związku".

Tryumfy polskiego sportu.

Rozwój sportów u nas w ostatnich latach znacznie postąpił naprzód. Zarówno w dziedzinie gry w piłkę nożną, jak i atletyki lub takich sportów, jak jazda rowerowa, nasi polscy sportowcy zajmują powoli pierwszorzędne stanowiska wśród sił wszechświatowych.

Nasze kluby gry w piłkę nożną śmiało zaczynają stawać do walki z klubami zagranicznymi wykazując bądź zwycięstwa, bądź też równorzędność sił. Bracia Cyganiewicze w dziedzinie atletyki zajmują bezsprzecznie pierwsze miejsce.

W ostatnich dniach sport polski zdobył znowu palmę pierwszeństwa na Węgrzech. W Budapeszcie odbywały się wyścigi cyklistów. W biegu o mistrzowstwo Węgier pierwszą nagrodę zdobył Polak, Kazimierz Blicharski, równocześnie stawiając rekord węgierski w jeździe na czas, gdyż przestrzeń 10 klm. przebył w 16 min. 12 sekundach.



Tryumfy polskiego sportu: P. Kazimierz Blicharski, który na wyścigach budapeszteńskich zdobył mistrzostwo Węgier.

P. Blicharski znany jest zwłaszcza w kołach lwowskich sportowców, gdzie zajmuje jedno z pierwszych stanowisk.

W Budapeszcie miał trudne zadanie do spełnienia, gdyż równocześnie z nim startował szereg wybitnych sportowców światowej sławy.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę węgierskiego zwycięzcy.

Jerzy Ohnet.

Śmierć Bonapartemu!

4)

— Czy przyjmiecie posłów?

— Przyjmuję wszystkich, którzy mają do mnie interes.

— Więc ja mam nic nie przedsiębrać w tym kierunku?

— Aż do dalszych informacyi.

Fouché zrozumiał, że posłuchanie skończone i powstał. W tejże chwili służba wniosła okrągły stolik, na którym jadał Bonaparte. W przedpokoju pojawił się Rustam. Ogólne poruszenie służby poprzedziło wejście pani Bonaparte. Dbała troskliwie o cerę i wprawnie dobierała toalety. Smukła, rytmicznym ruchem zbliżała się powoli, oczy przymykając. Pierwszy konsul, przygotowany na sceny i płacze, z zadowoleniem spojrzał na żonę, lecz szorstkim ruchem wskazał jej miejsce:

— Siadaj Józefino.

Skoro zostali sami, dał ujście swemu niezadowoleniu.

— Co to znaczy, że dasz się tyle razy prosić o wyjaśnienia, których od ciebie żądam? Znowu szastanie pieniądzmi? Zawsze nieład? Tego najbardziej nie znoszę. Zachęcaj do zbytku, zgoda na to. To moja polityka. Ale dobieraj, co kupujesz. Za wiele masz upodobania do fatałaszków. Dobieraj rzeczy cenne, istotnie piękne, bogate klejnoty. Ale szkiełka i zwierciadła? To smak negrów z twej ojczyzny. Co masz z tego? Śmieci i niepłacone rachunki. Nie chcę tego więcej!

— Skąd tyle surowości dzisiaj?

— Bo dajesz zły przykład. Naśladują cię najwięcej warte osoby z naszego otoczenia. I tak, Lannes wprowadził kosztowną zmianę mundurów, nie czekając mego upoważnienia. Kto ma płacić nowe wydatki? Z mego rozkazu pójdzie to na jego rachunek. A ten człowiek dąsa się i nie mówi do mnie; taki to już szkaradny charakter. Kto tu panem ostatecznie, ja, czy nie ja?

Józefina do łez się uciekła. Była to jej zwykła metoda. Bonaparte, jedząc jednocześnie swoim zwyczajem wszystkie dania razem na stół wniesione, pozwolił żonie pomartwić się trochę i począł łagodniej:

— No, no! Nie płacz już. Zapłacę. Ale, aby to było ostatni raz. Bierz przykład z rozsądku i posłuszeństwa twego syna. Eugeniusz zachowuje się wzorowo. Nigdy nie zasługuje na naganę. To najlepszy mój żołnierz.

— Wie, co ci winien.

— Nie więcej, niż inni, niż Junot, Murat, Augereau, Bessiéres. A jednak...

Powstał, serwetkę na stół rzucił. Całe śniadanie nie trwało kwadransa. Wniesiono kawę. Zbliżył się serdecznie do Józefiny.

— Nie trap się, moja droga. Ale nie trwoń tak grosza. Mówiono mi, że masz tajemne źródła dochodów, że i Fouché w grę tu wchodzi. Strzeż się, by się to nie okazało prawdą!

Ucałował ją i utulił, bo mimo wszystkich zawodów, żywił dla niej serdeczne uczucie. Ona chciała wyzyskać chwilę i zwróciła rzecz na politykę:

— Proszono mię znowu o uchylenie banicyi dla rodziny Sait-Estrangin, najznamienitszej we Franche-Comté. Wiesz, że ludność tamtejsza jest usposobiona bardzo rojalistycznie. Pozyskasz ich dla siebie tem ułaskawieniem.

— Przygotuj wniosek dla Cambacérés.

— O to samo proszą Charost i Ducs; mówiła mi o nich pani Bernadotte...

Bonaparte zagryzł wargi. Nie lubił, by mu wspominano tę kobietę, którą kochał i porzucił następnie dla Józefiny, wyposażonej przez dowódcę wojsk włoskich. Odrzekł:

— Dobrze, dobrze, wszystko do Cambacérés. Gdybym cię chciał zawsze słuchać, niebawem byliby we Francyi sami emigranci, bo dla innych nie starczyłoby miejsca. Za wiele się ci ludzie kręcą. Może to gruba naiwność powodować się względem nich szlachetnością... Dla porządku publicznego lepiejby może nie spuszczać z surowości. To usunęłoby w przyszłości konieczność rygoru...

— Kto wie, Bonaparte, czy nie lepiej byłoby przywołać Burbonów...

— Czy oszalałaś? Nie dla nich narażałem sławę i życie pod Arcole i Marengo!

— Jednakże, liczą na ciebie. Nie dalej, jak przedwczoraj dali mi znać o tem. Są w Paryżu z misyą wybadania cię...

— Skąd wiesz o tem?

— Bo rojaliści zawsze przezemnie szukają drogi do ciebie.

— Możesz się bardzo skompromitować tą polityką.

— Dlaczego, skoro nie taję się przed tobą?

— Czy nic nie zatajając?

— Czyżby to leżało w mym interesie? Co mogę bez ciebie?

— A kogo wysłano do mnie?

— Panów Hyde i Cadoudala.

Bonaparte skinął głową:

— Wiedziałem o tem już od Fouché. A ty od kogo?

— Nie pytaj mię o to. Gdybyś się z tem zdradził, straciłabym ich zaufanie i nie zwierzyliby mi już nic. Ty cierpiałbyś na tem...

— Lecz koniec końców, czego ci panowie chcą odemnie?

— Mówić z tobą.

— Kto mi zaręczy, że z tej rozmowy wyjdę z życiem?

— Oni swojem.

— Nierówne partye. Kto wie, czy nie odkomenderowano ich dwóch dla zgładzenia mnie kosztem ich własnego życia. A co ono warte wobec mojego?

— Możesz powziąć wszelkie możliwe ostrożności. Nie masz się czego obawiać, wśród oddanych sobie ludzi. Zatrzymasz w pokoju przyległym z jednej strony Murata i Rappa, z drugiej Junota i Rustama. Niktby palca przeciwko tobie nie zdążył podnieść, nimby ci nadbiegli. Możesz kazać zbadać, czy nie mają ukrytej broni.

Bonaparte w myślach utonął. Bladą, wychudłą twarz w okoleniu zwisłych włosów, na piersi skłonił. Stanął w milczeniu przed kominkiem. Po kilku minutach utkwił oczy w Józefinie:

— Dobrze, pomówię z wysłannikami książąt jutro po obiedzie. Każ im zgłosić się do ciebie. Ty ich do mnie wprowadzisz.

Tegosamego wieczora Hyde de Neuville wszedł do hotelu i na trzecie piętro do pokoju, leżącego między pokojami Cadoudala i Saint Régeant'a.

— Słyszałem wasze kroki — rzekł do wchodzącego w pięć minut później Saint Régeanta. — Te ściany, jak z papieru. Ani u was, ani u Jerzego niepodobna jest mówić, nie będąc słyszanym przez sąsiadów. Jedynie tu jest to możliwe.

— Mam dobre nowiny — oznajmił tamten. — Mówiłem z moją zacną krajanką. Sprawa posłuchania załatwiona. Jutro wieczorem staniecie z Jerzym przed pierwszym konsulem.

— No, to szybko poszło. Bodaj to być ładnym chłopcem, takiemu wszystko się uda!

— Ani nie czyniłem forsownych zabiegów, ani uciekałem się do zalotów. Tak się złożyło, że żona naszego towarzysza podróży, Lerebourga, jest zagorzałą rojalistką, a dostawczynią pani Bonaparte. Samo z siebie się rozumie, że pośredniczy między partyą, a żoną pierwszego konsula. Wejdziemy do pałacu pod jej opieką, jako agenci nowości z zakresu mody.

— A cóż mąż na to, Saint-Preux?

— Mąż, ani się spostrzeże! Ale gdzież Jerzy?

— Kto go wie? Ogolił się, ufryzował i wystrojony, jak najwykwintniejszy salonowiec, albo spaceruje po mieście, narażając się na poznanie, albo gra. Wolę go na mokradłach Bretanii, niż na paryskim bruku. Zwłaszcza, że trudno nie zauważyć tej olbrzymiej głowy na kwadratowym tułowiu.

Na schodach rozległy się miarowe kroki i wesołe gwizdanie.

— To on!

U drzwi posłyszeli modną w Paryżu piosenkę o Róży. Jerzy wszedł wesoło. Niósł laskę, spiralnie skręconą o grubości ręki, szeroka twarz tonęła w zabójczym krawacie, na szyję opadały loki peruki. Wbrew zdaniu Hyde, trudno było poznać Cadoudala. Laskę i kapelusz na łóżko rzucił i zwrócił się do przyjaciół.

— Mam nowiny.

— My również.

— Widziałem naszych ludzi...

— Jutro zobaczymy pierwszego konsula... Są gotowi, czekają znaku.

— Widzenie z Bonapartem rozstrzygnie o naszych zamiarach.

— Do djabła z Korsykaninem! Lepiej brać go siłą, nie układami.

— Musimy stosować się do rozkazu książąt.

— Eh, ten twój książę Artois. To mi bohater! Gdyby szedł za nami na Wandeę, mielibyśmy dziś Paryż, a król swój Wersal. Henryka IV nam trzeba, nie gnuśne książątko.

— Wróćmy do sprawy. Widziałem Rivière'a, Pastoret'a, Giuville'a i Zaraviè'a... Dali mi rendez-vous pojutrze, na balu w Pałacu hanowerskim, będzie tam całe kółko rojalistów paryskich.

— Czy spodziewacie się znaleźć tam współpracowników?

— Bynajmniej, skoro ci emigranci wrócili, to dowód, że nie podobało się im na wygnaniu, że zgadzają się z obecnym ustrojem, choć pojmuję, że nie ze szczerego serca. Frondują, konspirują w salonach, lecz od tego do działania na ulicy, lub na polu walki — daleko jeszcze. — Siłą tylko możnaby ich zmusić do tego. A o ile nasza dyplomatyczna wycieczka nie odniesie pożądanego skutku, nie cofnę się przed użyciem siły.

Od dnia przedstawienia pani Lereburg i odkrycia w niej niespodziewanego sprzymierzeńca, Saint-Régeant dwukrotnie odwiedzał magazyn przy ulicy St. Honoré. Pierwszy raz zaniósł kupcowi próbki jedwabiu, które ledwo wydobył. Starał się okazać możliwe znawstwo w tym kierunku i utrzymać w przyjętej roli. Skutkiem dostarczenia próbek był pomysł zaniesienia ich Bonaparte przez samego quasi Leclerca. Sposób, pretekst i pora przyjęcia Saint Régeantá i jego towarzyszy w pałacu Bonapartego był przedmiotem szczegółowych obrad Józefiny i Emilii.

Druga wizyta Saint-Régeanta pod Błękitnym Kołpakiem miała na celu dowiedzenie się o wyniku tych obrad. Ułożono, że Saint Régeant pojedzie powozem z małżonkami Lerebourg, a Hyde i Cadoudal będą czekali na rogu pałacu nantejskiego. Kupiec nie wiedział nic o intrydze żony i był przekonany, że działa jedynie w interesie swego handlu. Dzięki nieobecności pana Lerebourg miał Saint Régeant sposobność podczas drugiej wizyty posłyszeć o losach Emilii. Wcześnie osierociała, znalazła się samotnie wśród band szuaneryi — w ogniu krzyżowym terroru niebieskich i ucisku białych. Szczęściem dla siebie poznała w Nantes pana Lerebourg, zajętego chwilowo przy oszacowaniu kontrabandy towarów bławatnych, sprowadzonych potajemnie z Liverpoolu a przejętej przez władze. Emilia, zajęta wówczas w firmie konfekcyi sióstr Quast, wiernych rojalistek, zwróciła wdziękiem i dystynkcyą uwagę kupca. Panna de Plemeur, pod przybranem nazwiskiem Emilii Bourdin słynęła jako koronczarka. Pan Lerebourg uznał, że byłaby dobrym nabytkiem dla sklepu przy ul. Saint-Honoré i zwierzył się z tem spostrzeżeniem siostrom Quast, które z taką rezerwą przyjęły jego pochlebną opinię, że wzbudziły w kupcu poważne wątpliwości co do cnoty Emilii. Z silnie przykrego wzruszenia, jakie nim owładnęło, Lerebourg poznał, jak głębokie w nim się ku uroczej dziewczynie zrodziło uczucie. Pomyślał natychmiast: co zrobię, jeżeli się co do niej łudzę? Nie mógł tego przenieść po sobie, by wrócić natychmiast do Paryża i przestać myśleć o pannie Bourdin. Zrozumiał, że poczyniłby nawet ustępstwa, byleby pozyskać jej względy. Gotów poślubić ją mimo wszystko, doznał przemiłego uczucia, skoro siostry du Quast bardzo ogłędnie i tajemniczo uwiadomiły go, że Emilia pochodzi z lepszego domu i prawdopodobnie nie zgodzi się na propozycyę pana Lerebourg, będąc sama w przykrej sytuacyi, bez dachu nad głową, bez przyszłości. — Lerebourg był zdania, że wszelkie sprawy najskuteczniejszej załatwia się samemu i zwrócił się z wynurzeniami wprost do panny Emilli — Młoda dziewczyna, mimo niebezpieczeństwa, grożącego jej w mieście, teroryzowanem przez Carriera, odsłoniła przed kupcem swą dolę, dając mu w ręce środek zgubienia jej, o ileby zdobył się na podłość. Na prośbę o rękę, odrzekła — że dobrze jej u sióstr Quast. — Lecz skoro Lerebourg nalegał ze względu na bezpieczeństwo, jakie jej w Paryżu zapewniało jego stanowisko, Emilia zażądała czasu do namysłu. Pod wpływem panien Quast i rosnącego terroru, przekonana, że w Bretanii wszystko dla niej stracone, przyjęła Lerebourga. Niebawem stała się atrakcyą jego magazynu. Nikt nie umiał skroić równie zręcznie żabotów dla Robespierre'a. Fabre d'Eglantine rymy na jej cześć składał, a Barras kręcił się koło niej. Dla ludzi tych, których Emilia uważała za rozbójników, była nieprzystępna, a powoli umiała umiarkować zapał polityczny męża, lecz nie pozyskała go dla rojalistów; konsulat wystarczał kupcowi.

Oznaczonego wieczoru Lerebourg i mniemany Leclerc znieśli stosy materyi do powozu, i przywołali panią Lerebourg. W wykwintnej sukni jedwabnej z wysokim stanem, w haftowanym szalu gazowym i bardzo twarzowym kapeluszu, skoro wsiadła, Le-

rebourg pchnął Leclerca na miejsce obok niej, sam usadowił się na przedniej ławeczce, przy towarach i rzucił woźnicy: „do Tuilleries!“

ROZDZIAŁ V.

Oko w oko z wrogiem.

Po burzliwej utarczce z pierwszym konsulem — Fouché — znalazłszy się w swem biurze, przeglądał trzeźwą, chłodną pamięcią doniosłość zarzutów naczelnika państwa. Ex mnich nie umiał unosić się bez przyczyny — a słowa, których śladem nie szły czyny, w oczach jego nie miały wcale znaczenia. Czyn jakikolwiek, byle doraźny, oto, z czem wartoby się liczyć. — A słowa niezadowolenia, wymówki, gniew? — Gdyby Bonaparte był mu dał rozkaz natychmiastowego, masowego więzienia i zsyłki resztek Jakóbinów — byłoby o czem myśleć. — Jednak generał poprzestał na wywodzeniu żalów. Ten objaw niezadowolenia nie przedstawiał dla ministra Fouché powodu do niepokoju, ale dla zupełnego bezpieczeństwa trzeba było niezadowoleniu władcy nadać nieszkodliwy kierunek. Nad tem rozmyślał minister, wpatrzony w kominek swego pokoju.

Należało zwrócić uwagę Bonapartego na rojalistów, zasłaniając nimi Jakóbinów. Niechaj gniew konsula spadnie na tych bandytów, a nie na dawnych towarzyszy Fouche'go. Nie zaniedbał przedkładać konsulowi, że podżegaczami są w rzeczystości szuani, a ekspropriatorami emisaryusze armii normandzkiej, dostawcy Frotté'go. Niestety, odosobnione wypadki tego rodzaju nie dały się odczuć ogólnie, nie przybrały charakteru gromadnego, zorganizowanego działania, nie przeraziły opinii publicznej. Dotychczas nie było skarg przeciwko rojalistom, nikt nie żądał pociągnięcia ich do odpowiedzialności, jako winnych zakłócenia spokoju. W chwili, gdy sprawa ta zajmowała uwagę Fouché'go, ktoś zapukał do jego drzwi. Minister nie wyrzekł nawet zwykłego „proszę“ — a drzwi otwarły się, wchodził widocznie gość codzienny.

— A, to ty, Braconneau — rzekł minister.

Ukazał się nizki człowiek, w bronzowym fraku i szerokiej, pudrowanej peruce, nic a nic nie podobny do młodzika w angielskim surducie, który kazał żandarmowi zapytać Saint-Régeant'a o paszport w hotelu pod Czarnym Koniem. A był to ten sam pan.

— Wracasz od Dubois? Co mówił dziś rano?

— Obywatelu ministrze, Dubois donosi o ruchu wśród Filadelfów i o zamierzonych usiłowaniach wniesienia skargi na konsulów.

— Czy oszalał?

— Jego przewidywaniom nie brak podstaw realnych. Dawne kluby powracają do życia w postaci tajnych związków.,. Na razie nie w tem widzę niebezpieczeństwo. Zaledwo Jerzy stanął w Paryżu, zetknął się z przywódcami rojalistów, którym rząd nie przeszkadzał powrócić do stolicy.

— Na żądanie pierwszego konsula.

— Gorzko tego pożałuje.

— Nie spuścisz z oka Jerzego ani na chwilę?

— Rozumie się, obywatelu ministrze.

— Gdzie stanął?

— Na ulicy Arbre Sec, w tym samym zajeździe, co Hyde de Neuville i Saint Régeant.

— Czy stwierdziłeś sam prawdziwość tych doniesień?

— Tak jest obywatelu ministrze. I ja wynająłem tam pokój, jako kawaler de Laverniére i w tej roli mogłem zapoznać się z tymi panami. Zresztą, spotkałem już Hyde de Neuville'a i Saint Régeant'a w drodze z Normandyi. Saint Régeant jechał za zupełnie innym paszportem, niejakiego Wiktora Leclerca. W drodze umieli mi się tak dowcipnie wykręcić, że straciłem ich z oczu. Lecz teraz mam ich znów i pokażę im, co potrafię.

— Co wiesz o nich pewnego?

— Hyde nie ruszył się dotąd z zajazdu. Saint-Régeant był w kilku miejscach, między innymi u księcia de Riviére, margrabiego de Virieu i Lerebourg'a, kupca konfekcyi pod „Niebieską Czapką“, przy ulicy Saint Honoré.

— Cóż łączy go z tym Lerebourg?

— Przywiózł tego kupca swymi końmi z Normandyi do Paryża.

— Znali się zatem dawniej.

— Bynajmniej. Spotkali się przy stole restauracyjnym, gdzie i ja byłem. Biedny kupiec tak się obawiał napaści w drodze, że zaprosili go do swego powozu. Obecnie, inne okoliczności zacieśniły tę znajomość.

— Jakież?

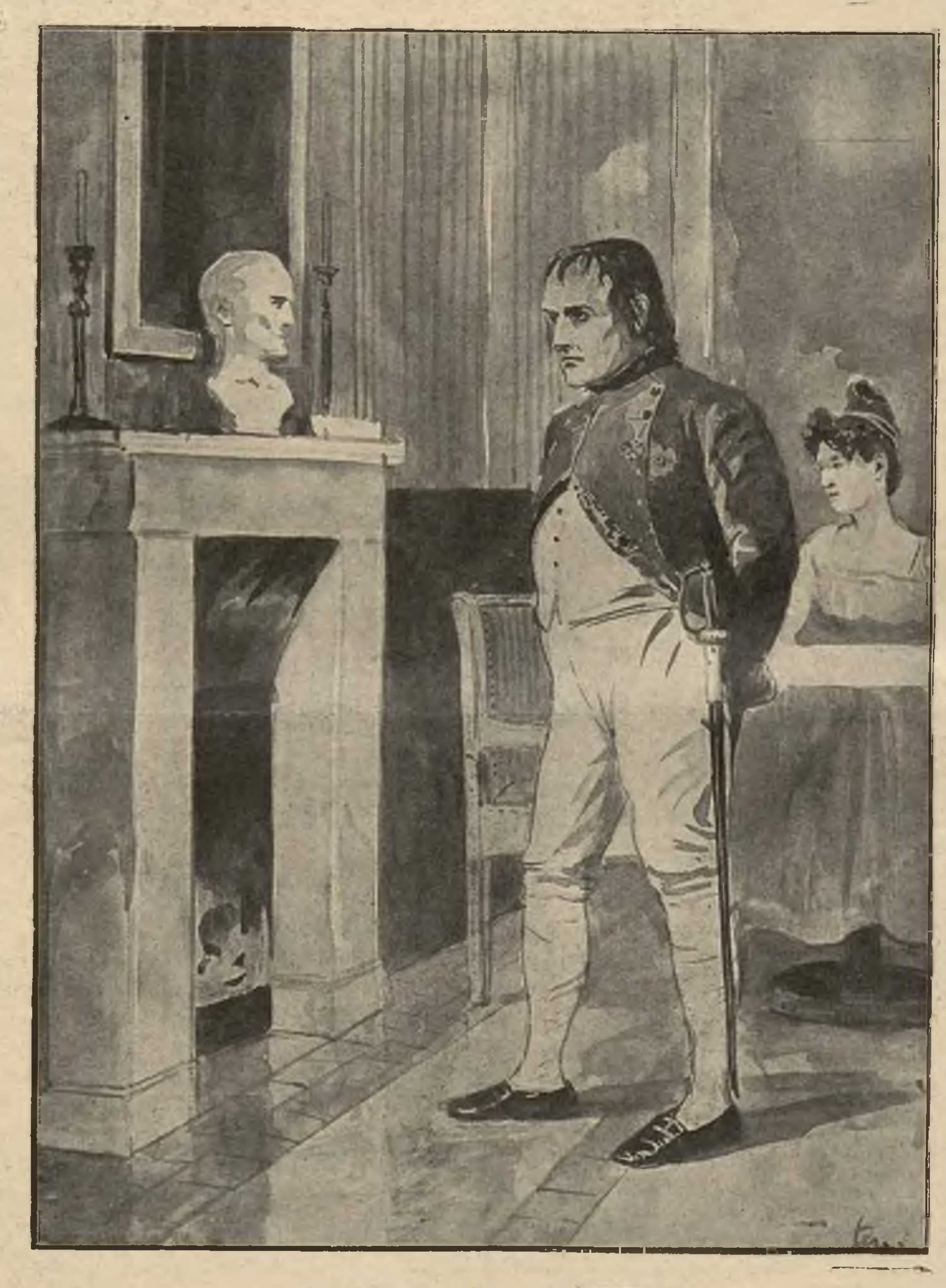
— Obywatel Lerebourg ma śliczną, młodą żonę.

— A jakie przekonania?

— Jak najlepsze. Jest dostawcą pani Bonaparte i całego wyższego świata. Obywatelki Talien i Recamier, generałowa Junot, są jego stałemi klientkami. Jego ideałem politycznym jest utrzymanie obecnego Konsulatu.

— Czy domyśla się, kim jest jego towarzysz podróży?

— Ani trochę. Nie wpuściłby go do swego domu, gdyby wiedział, że ten pan podszywa się pod obce nazwisko. Jest pewien, że to Wiktor Leclerc.



Stanął w milczeniu pod kominkiem.

— A żona Lerebourg'a?

— A, to co innego. Wziąłem na spytki panny sklepowe. Pani Emilia pochodzi z dobrej szlachty bretańskiej, przybyła tu przed kilku laty i poślubiła na zabój zakochanego Lerebourg'a. Ma być bardzo rozsądna, ale...

— Każda kobieta póty jest rozsądna, póki nie stanie się nierozsądna. Saint-Régeant jest także z Bretanii. Może się już znali... Należy ich mieć na oku... A teraz, co robi Jerzy?

— Nie wychodzi z Palais-Royal. Dzieli czas między kobietki, a karty. Przegrywa, ile się tylko da. Wcale się nie kryje, a tak bije w oczy, że już dziesięciu agentów zdawało mi raport o jego przybyciu. Aresztować go?

— Zawcześnie na to. Zjazd tych ludzi, jednego z Londynu, drugiego z Bretanii, daje mi wiele do myślenia. Oczekujemy czegoś ważnego. Dotychczas wszystko wymykało mi się z ręki. Teraz chwyciłem nić i po niej dojdę do prawdy.

— A ja, mam pilnować Saint-Régeant'a, czy tak?

— Oczywiście, nie zaniedbuj jednak sprawy Filadelfów. Pierwszy konsul jest najmocniej przekonany, że to Jakóbini starają się usunąć go. Wprawdzie nie podzielam jego objaw, ale nie chcę podejmować krytyki. Gdyby jednak z tamtej strony wyrósł jaki spisek, muszę mieć możność zniweczenia go. Ten idyota Dubois nic nie widzi i nie wie.

— Obywatelu ministrze, mógłbyś żądać od Bonapartego, aby go usunął...

— Źle sądzisz, mój kochany, a nużby nam nadesłał na jego miejsce kogoś zdolnego? Przeszkadzałby nam we wszystkiem. Przy tym niedołędze mam wolne ręce.

— A, tak, nie pomyślałem o tem.

Lekki uśmiech przemknął się po wargach Fouché'go. Dał agentowi znak odejścia. Braconneau skłonił się nizko i wyszedł tak cicho, jak wszedł. Ten groźny policyant, specyalista od spraw politycznych, należał do oddziału Leoir'a przed rewolucyą. Brał udział, jako prawa ręka Maillard'a, w rzezi wrześniowej, a podczas terroru był najdzikszym hebertystą. Umiał przeczuć, po czyjej stronie będzie powodzenie, i za dni termidora stanął u boku Taliéna, a jako awans otrzymał stanowisko w szeregach Fouché'go. Dwulicowy polityk na wszystkie fronty, Fouché, nie mógł znaleźć godniejszego współpracownika nad Braconneau. Był on policyantem z powołania, gotów bez skrupułów do wszystkiego, uprawiał swój zawód z taką pasyą, jak wyżeł polowanie. Wykonywał go z surową ścisłością i akuratnością. Był zwykłym szpiegiem, ale pierwszorzędnym. Miał bystrą intuicyę i przeczuł zmiany, jakie zaszły u Lerebourg'ów. Z niezwykłego niepokoju, jaki dostrzegł u zawsze chłodnej i zrównoważonej Emilii, domyślał się, że obecność Saint-Régeant'a zmieniła spokojny tryb pod „Niebieską Czapką“.

W kilka godzin po wizycie u ministra, siedział Braconneau w tym sklepie nad stosami rękawiczek i krawatek, bawił pannę sklepową galanteryą z epoki Królestwa.

— Ach, czarująca Hermancyo, gdybyś zechciała być nieco mniej okrutna, nie byłbym w stanie cofnąć się przed żadnym dowodem wdzięczności!

— Panie kawalerze, gdybym uwierzyła słowom waści, nie starczyłoby mi łez w życiu na opłakanie mej łatwowierności. Wszystkie nasze panny mówią, że pan zwodzić umie. A sama obywatelka Lerebourg bardzo nas ostrzega przed pochlebstwem takich panów.

— Hm, a czy sama postępuje wedle zasad, które głosi? Czy nie kręci się koło niej pewien brunecik, przed którym pan mąż mógłby się nieco więcej mieć na ostrożności?

— Myśli pan o Leclercu? Prócz interesów, nic go nie łączy z naszym domem. Chętniej nawet przestaje z panem, niż z panią. O ile wiem, przyszedł tylko po zamówienia, a dziś wieczór ma z naszym szefem zanieść nowości do obejrzenia żonie pierwszego konsula.

— Skąd wiesz o tem, urocze bóstwo?

— Stąd, że sama pakowałam próbki, a obywatel Lerebourg odezwał się do mnie: „Jeżeli obywatelka Bonaparte wprowadzi modę tych brokatów, zrobimy majątek“. Co do Leclerca, ten umie nadzwyczajmie zachwalić towar.

— O, wiem, że obywatelka Beauharnais ma pretensye do wskrzeszenia elegancyi i dworu. Ale jej obecne otoczenie niewieście bynajmniej nie sprosta tej misyi kulturalnej. Trudno mi uwierzyć, by expraczki i handlarki jarzyn, które stanowią dziś „towarzystwo“ w pałacu Tuilleryjskim, były materyałem na arystokracyę.

— Niedocenia pan tych pań. Np. pani Lannes, wcale ładna; pani Murat, to piękność; a siostra konsula, urocza Paulina...

— Na tą jedną mógłbym się zgodzić. To dama w każdym calu. Ale nawet ona równać się nie może co do urody z zachwycającą Hermancyą...

Powstał wśród przesadnych manier, a za każdym ruchem od jego peruki wiał wonny obłok pudru.

— Gdzie pan każe odesłać sprawunki?

— Dzięki, o piękna. Przed świętym Rochem czeka na mnie powóz. Wezmę sam te drobiazgi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ku czci twórcy polskiego sokolstwa.

Sokolstwo lwowskie obchodziło w ubiegłym tygodniu poważną uroczystość. Na cmentarzu łyczakowskim stanął wspaniały pomnik, na grobie, kryjącym zwłoki ś. p. Antoniego Durskiego, piewszego naczelnika „Sokoła Macierzy“ we Lwowie, a następnie pierwszego naczelnika Związku sokolego.

Pomnik zbudowany jest z bronzu i kamienia trembowelskiego w kształcie obeliska. Na szczycie siedzi bronzowy orzeł sokoli, zaś poniżej znajduje się popiersie ś. p. Durskiego.

Odsłonięcie pomnika odbyło się bardzo uroczyście. Przybyli nań do Lwowa delegaci gniazd sokolich z całego kraju. Poświęcenia dokonał ks. Olejniczek, poczem przemówił prezes Związku sokolego dr. Ksawery Fiszer. Oddziały sokole oddały hołd zmarłemu poważną defiladą przed pomnikiem.

Illustracya nasza przedstawia chwilę odsłonięcia pomnika.



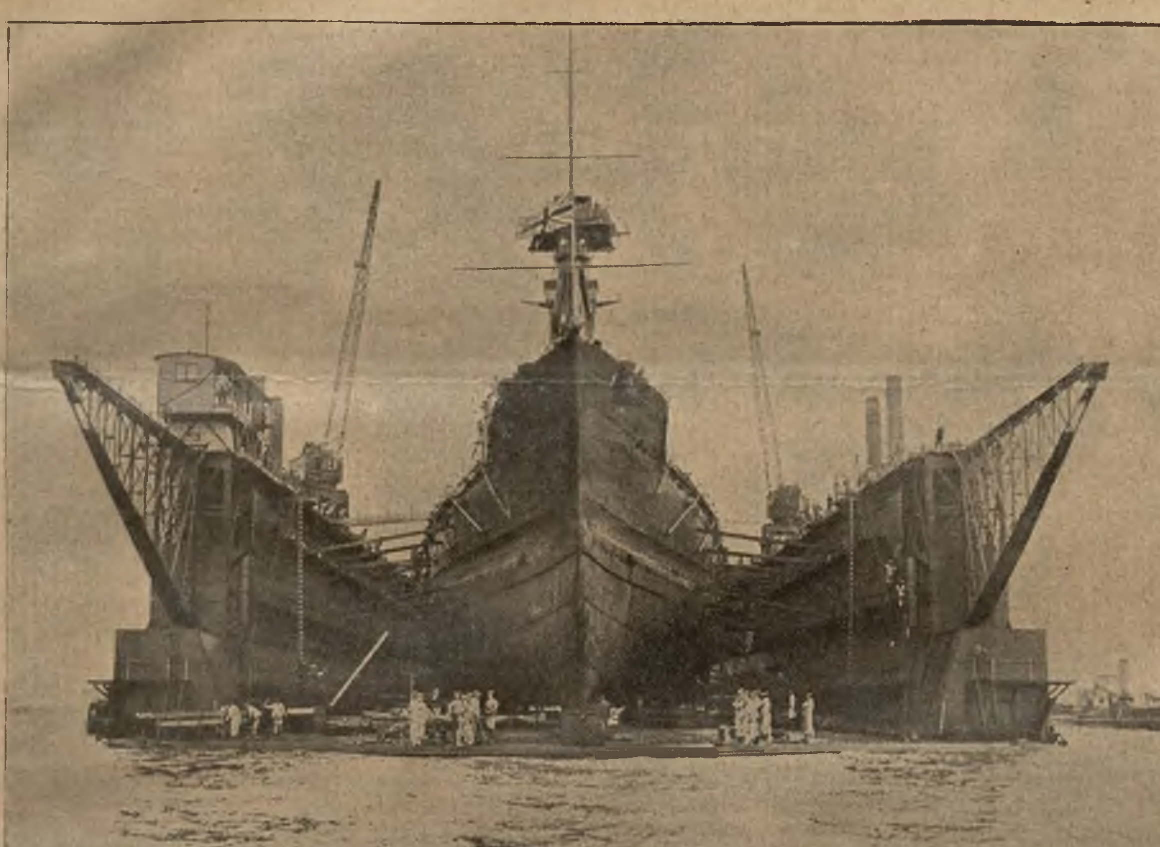
Ku czci twórcy polskiego sokolstwa: Odsłonięcie pomnika ś p Durskiego na cmentarzu we Lwowie.
(Fot. M. Münz, Lwów).

Pływające warsztaty okrętowe.

Udoskonalenia w budowie okrętów doprowadziły już dzisiaj do wyników, które nieraz przybierają wprost fantastyczne pozory. Do takich należy możliwość naprawiania okrętów na pełnem morzu. Naturalnie, naprawie takiej podlegać mogą na razie statki mniejsze, w każdym razie jednak tak wielkie, że kilka kamienic trzypiętrowych wygodnie w nich by się zmieściło. Do uskuteczniania napraw służą specyalne doki pływające. Składają się one z dwóch długich parostatków o nadzwyczaj silnej budowie, w których wnętrzu mieszczą się potrzebne warsztaty. Statki te podpływają do uszkodzonego okrętu i stają po obu jego bokach. Wtedy za pomocą wind podnosi się będący w środku okręt do góry, a równocześnie buduje się między obu okrętami warsztatowymi pomost, na który następnie opuszcza się okręt potrzebujący naprawy.

W ten sposób na pełnem morzu powstaje dok, w którym zupełnie wygodnie można naprawę okrętu przeprowadzić.

Illustracya nasza przedstawia taki pływający warsztat okrętowy z naprawianym parowcem pasażerskim we wnętrzu.



Pływające warsztaty okrętowe: Naprawianie okrętu w pływającym doku.

Kolonie wakacyjne dla młodzieży.

W poprzednim numerze przynieśliśmy wiadomość o koloniach wakacyjnych, zorganizowanych dla młodzieży szkół ludowych krakowskich, mających siedzibę swą w Kochanowie pod Krakowem.

Obok tej organizacyi pracuje w Krakowie jednak jeszcze drugie towarzystwo, które specyalnie zajmuje się młodzieżą izraelicką. Grono przyjaciół młodzieży założyło je przed dwudziestu laty.

Towarzystwo z wkładek członków, darów i zapisów zakupiło w swoim czasie obszerny grunt w Rabce, a dziś stoi już na nim wspaniały murowany budynek kolonii. Koloniści przybywają tu co roku w dwu oddziałach, a skutki pobytu w Rabce według dat i zapisków lekarskich są znakomite.

Kolonia prowadzona jest przez kilka rutynowanych sił fachowych, a urządzona wzorowo pod względem hygieny, stanowi poważny dorobek społeczny.

Illustracye nasze przedstawiają grupę kolonistów tegorocznych oraz salę jadalną zakładu w Rabce.



Kolonie wakacyjne dla młodzieży: Obiad kolonistów w Rabce.
(Fot. J. Robak, Kraków).



Kolonie wakacyjne dla młodzieży: Kolonia młodzieży szkół ludowych krakowskich w Rabce. W środku siedzą kierownicy pp Silberstein, Markheim i Fiedlerówna.
(Fot. J. Robak, Kraków).

Kronika tygodniowa.

W miarę, jak horyzont rozpogadza się coraz bardziej, zwiastując zbliżanie się zapowiedzianego przezemnie babiego lata, horyzont polityczny, jak daleko okiem sięgnąć, zasnuwa się coraz czarniejszemi chmurami.

Oczy całego świata zwrócone są na półwysep bałkański, gdzie biedny Turek powoli dogorywa, a dokoła niego zebrali się sąsiedzi, czekający niecierpliwie na spadek.

W powietrzu czuć woń prochu, Serbia, Bułgarya, Grecya i Czarnogóra występują bardzo seryo i sprawiają tem kłopot swym opiekunom, którzy nie pragną wcale żadnych zawikłań ze względu na chroniczny brak monety, dający się odczuć na całym kontynencie.

Kto wie, czy człek nie będzie musiał przypasać miecza i wyrukować na obronę granic c. k. vaterlandu. Chciałem w tym celu kupić sobie jaką starą armatę, niestety, nie mogłem się w nią zaopatrzyć ani na tandecie, ani u pana Arona Gajera, który ofiarował mi na sprzedaż całą marynarkę, z kieszeniami, rękawami i guzikami, ale bez armat, bo on jako członek Ligi pokojowej „nie robi w tym interesie“.

Skutkiem tego podrażnienia usposobień popyt na drukowaną bibułę, czyli pisma codzienne, wzmógł się prawie o sto procent, w każdym handelku toczą się namiętne dyskusye nad tem, czy będzie wojna, czy nie, jeśli zaś będzie, kto zwycięży.

Ponieważ zaś wszelkie narady nie mogą się u nas odbywać na sucho, pilzner i okocim, tu i ówdzie zieleniak, lub inny produkt węgierskiej ziemi, leją się strumieniami.

Podobno na wypadek wojny organizuje się w Krakowie legion amazonek, do którego ostatecznie zdecydowałbym się wstąpić, choćby jako trębacz pułkowy...

Ale nie uprzedzajmy wypadków! Tyle razy pomyliłem się w swych przepowiedniach politycznych, że wolę sobie dać spokój.

Na dowód jednak, że nawet pomiędzy niższemi sferami panuje przekonanie, iż coś wisi w powietrzu, służyć może bajeczka, jaka kursuje pomiędzy ludnością gmin przyłączonych.

Słyszałem ją z ust jednego z obywateli, który, rzecz prosta, wierzy w nią święcie.

Otóż, w jednej z dzielnic, przyłączonych do Krakowa, istnieje instytucya stróżów nocnych. Przed kilku dniami, taki właśnie dostojnik autonomiczny odgwizdał godzinę dwunastą i zabierał się do drzemki, gdy wtem zjawił się przed nim nieznany mu mały chłopiec i poprosił, by powtórzył swą czynność urzędową.

Nie zgodził się naturalnie, bo nie pozwalało na to przeświadczenie o swej urzędowej powadze.

Ale na drugą noc, akurat o tym samym czasie, powtórzyło się wszystko, co ostatecznie do tego stopnia zaaferowało „władzę“, iż nazajutrz rano udała się do swej zwykłej knajpki i tu opowiedziała przyjaciołom polityczny całe zdarzenie.

Popito silnej z mocną i postanowiono, że jeśli ów tajemniczy chłopiec pojawi się jeszcze raz, powinien stróż nocnego bezpieczeństwa uczynić zadość jego żądaniu.

I rzeczywiście, zaledwie minęła północ, a gwizdek zgniał w kieszeni naszego bohatera, zjawia się znów to samo chłopię i po raz trzeci powtarza swą prośbę, tym razem jednak już ze skutkiem.

Ciszę nocną przerwało więc dwanaście sygnałów, a w tej chwili stało się coś nadzwyczajnego... Zahuczało w powietrzu, a przerażone oczy stróża nocnego ujrzały przed sobą trzy groby, jeden zupełnie próżny, drugi pełny wody, trzeci krwi...

Zapytany, coby to miało znaczyć, odpowiedział ów tajemniczy chłopczyna:

— To symbol lat, w których żyjemy! Tamten rok był suchy, ten jest mokry, następny będzie krwawy.

I zniknął.

Każdy rozsądny człowiek wie o tem dobrze, że opowiadanie to jest płodem bujnej fantazyi, podrażnionej najsprzeczniejszemi wieściami, które się obijają każdemu o uszy, no i owej silnej z mocną, w każdym jednak razie świadczy to dosadnie o rozpolitykowaniu wszystkich sfer.

Aby więc i nas coś podobnego nie spotkało, dajmy spokój polityce, a zacznijmy z innej beczki.

Przedewszystkiem więc reminiscencye z podróży ministeryalnej, o której już wspomniałem w poprzedniej kronice.

Stało się, jak przewidywałem, ich ekscellencye widziały bardzo wiele pięknych rzeczy w całej Galicyi, od Rudawy począwszy, a na Pełtwi skończywszy i są najmocniej przekonane, że Galicya jest krajem mlekiem i miodem płynącym, gdzie wszystkiego jest podostatkiem: węgla, soli, żelaza... o mały figiel, że nie złota, srebra i drogich kamieni, choć i tych w naszych kadrach zastawniczych znalazłbyś sporo...

Bez kanału, który łączyłby Wisłę z Dniestrem można się także obejść doskonale, zwłaszcza, jeżeli się posiada automobil, lub ministeryalną freikartę...

W Kołomyi, dokąd udano się ze Lwowa, zwiedzili dostojni goście wystawę ukraińską, która im się bardzo podobała. I tutaj pojedli i popili i dali sobie buzi na pożegnanie. Pan Trnka pojechał na Bukowinę, pan Długosz wrócił w domowe pielesze, gdyż tam już władza jego nie sięga.

Prasa urzędowa i półurzędowa rozpisuje się wprawdzie długo i szeroko o korzyściach, jakie spadną na kraj nasz z okazyi tej wycieczki, ja jednak dotąd ich nie widzę, lecz, daj Boże, bym je kiedyś ujrzał.

Bardzo przecież żałuję, że nie usłuchali mej rady obaj wiedeńscy goście i nie puścili się *incognito* w podróż po kraju, wiedzieli jednak, na jakie mogliby się narazić nieprzyjemności.

Przedewszystkiem wziętoby ich może za szpiegów, bo to dziś u nas taka moda, że każdego o to posądzają, w dalszym ciągu użyliby nielada przyjemność podróżując naszą koleją państwową.

Byłaby to prawdziwa *Vergnügungsreise*, łącząca przyjemne z pożytecznem, zastępująca bowiem równocześnie łaźnię parową i prasę hydrauliczną... Dodajmy do tego pospiech, z jakim doręczanoby im przeznaczone dla nich posyłki pocztowe, a mielibyśmy pierwszą wiązankę czekających ich przyjemności.

Podróżowanie *incognito* dałoby im sposobność zetknięcia się w przedziale klasy trzeciej z najbardziej przemysłową ludnością naszego kraju, wędrującą z tobołami z jarmarku na jarmark... mogliby w ich towarzystwie odwiedzić kilka miast i miasteczek, poznać ich europejskie urządzenia, wspaniałe oświetlenie w porze nocnej, ale tylko w czasie pełni księżycowej, czyste i wykwintne zajazdy z usługą skrzętną i rzetelną, znakomite restauracye z wiktem na świeżem maśle i po umiarkowanych cenach...

Jestem pewny, że szczególniej pan Trnka (bo p. Długosz zna przecież Galicyę...) opuszczałby wówczas granice naszego kraju z zupełnie innem przeświadczeniem o naszym dobrobycie i uprzemysłowieniu, a po powrocie do Wiednia pierwszym krokiem byłoby odwiedzenie ekscellencyi od skarbu i prośba:

— A odpisz im tam kolega trochę podatków, bo tam bieda, aż trzeszczy!...

Ekscellencya Zaleski, jako minister rodak, zrobiłby naturalnie, o co go proszono.

A tak, nici z tego!

Z kolei rzeczy muszę wspomnieć bodaj kilku słowami o trzechsetletniej rocznicy zgonu księdza Piotra Skargi, którą obchodziliśmy w całym kraju mniej lub więcej uroczyście.

W Krakowie wypadła ona na ogół podniośle i poważnie, nie było przecież widać tego zainteresowania, jakie winua była obudzić. Być może, że jednej z przyczyn szukać należy w tem, iż właściwy obchód przypadł na dzień powszedni, w każdym razie należy skonstatować, że niedoceniamy znaczenia, jakie Skarga miał i ma dla naszego narodu, a głównie dla naszego miasta, w którem sam sobie wystawił wspaniały pomnik pod postacią Arcybractwa Miłosierdzia i Banku pobożnego.

Obie te instytucye oddają nieocenione przysługi, zwłaszcza ludności najuboższej, ona też powinna była ze szczególnym pietyzmem uczcić pamięć swego dobrodzieja.

Dekoracya miasta i illuminacya nalepkami pozostawiały też wiele do życzenia, a chyba nikt nie byłby zubożał, gdyby był wydał o dwadzieścia halerzy więcej i to do tego na cel dobroczynny...

Pamiątką obchodu będzie dom rękodzielniczy im. ks. Skargi, którego budowa rozpoczęła się już w najbliższym czasie.

Co do reformy wyborczej do sejmu krajowego, to rzeczywiście znajduje się ona w błędnem kole. Konserwatyści utrudniają wyjaśnienie się sytuacyi, żądając koniecznie dwumandatowych okręgów, przeciw nim staje do walki reszta posłów sejmowych, wśród których pierwsze skrzypce gra trybun ludowców, pan Jan Stapiński, zapowiadający głośno świętą wojnę przeciw konserwie. W tym celu mają być zmobilizowane siły ludowców, których jeneralna rewia odbędzie się w Rzeszowie w dniu 12 października.

Tak opowiadają nasze pisma polityczne, na ucho jednak dodaje się, że pan Jan gotów jest każdej chwili do zgody, naturalnie na korzystnych dla siebie warunkach.

Wogóle więc i w Galicyi sytuacya jest do tego stopnia poważna, że nawet pan namiestnik zapadł na cierpienie wyrostka robaczkowatego, a zjazd walny Towarzystwa Szkoły ludowej, zapomniawszy, że jest instytucyą kulturalną, zaczął się bawić w austryacki parlament.

Działo się to podczas przemowy prezesa Koła polskiego, dra Lea, którego zaproszono celem udzielenia autentycznych wiadomości, w jakiem stadyum znajduje się sprawa upaństwowienia szkół w Białej i Orłowej.

Gdy dr. Leo zaczął mówić, narodowi demokraci i fronda ludowców co chwila przerywali jego wywody, oklaskiwali natomiast entuzyastycznie przemówienie Dąbskiego, atakującego ostro politykę Koła polskiego. Dopiero dr. Głąbiński musiał zestrofować narodowych demagogów, nawołując ich, by z instytucyi oświatowej nie robili terenu wieców politycznych, bo w ten sposób oddają towarzystwu prawdziwie niedźwiedzią przysługę i to właśnie w czasie, gdy ono znalazło się w tak ciężkiem położeniu materyalnem.

Panowie od endecyi i ci ludowcy, którzy się z nimi połączyli, gdyby więcej pozytywnie pracowali, a mniej pustych frazesów na wiatr puszczali, zyskaliby uznanie, że im dobro Towarzystwa rzeczywiście leży na sercu.

W drugim dniu obrad powtórzyły się znów awantury, tym razem przy wyborze zarządu Towarzystwa. Narodowi demokraci nie chcieli w żaden sposób dopuścić do zarządu głównego przedstawicieli grup opozycyjnych, którzy też solidarnie postanowili usunąć się od głosowania. Ostatecznie nawiązano rokowania, a przy wyborach przeszła lista kompromisowa.

Otóż, jak z tego wszystkiego widać jasno, jak na dłoni, narodek cały usposobiony jest bardzo wojowniczo, a w powietrzu nagromadziło się tyle energii, że lada chwila można się spodziewać jej wyładowania z tej lub odwrotnej strony.

Nic też dziwnego, że nawet sympatyczny Miecio z handlu „pod Obrazem“, choć pochodzący z pokojowo usposobionych Leszek, ciekawie dopytuje się krakowskich demokratów:

— A co, panie radco dobrodzieju, będzie wojna?

A oni poważnie kiwają głowami i nic nie mówią, a właśnie to milczenie jest bardzo znaczące, bo daje do poznania, że sytuacya jest poważna...

Czekajmy więc cierpliwie, bo nie wiadomo, co nam jutro może przynieść...

Chaos wyborczy w Warszawie.

Społeczeństwo polskie w Warszawie wobec nadchodzących wyborów do Dumy znalazło się w bardzo trudnem położeniu. Skutkiem nowych przepisów wyborczych i obojętności ogółu, w kolegium wyborczem, dokonywującem wyboru posła, Polacy będą stanowili mniejszość. Fakt ten skłonił stronnictwa polskie do zjednoczenia się w akcyi wyborczej. Z wyjątkiem narodowej demokracyi, która nie przystąpiła do konsolidacyi, wszystkie obozy zgodziły się na popieranie kandydatury p. Jana Kucharzewskiego, młodego, lecz utalentowanego prawnika, historyka i publicysty. Najsilniejsze jednak w Król. Pol. stronnictwo, które przeprowadzało poprzednie wybory, kandydatury tej nie uznało. Tworzy to niewątpliwie bardzo szkodliwy dla sprawy narodowej chaos. Niemniej p. Kucharzewski, którego kandydaturę proklamowały wszystkie warszawskie dzienniki z wyjątkiem urzędowego organu narod. demokracyi, „Gaz. Warszaw.", jest dzisiaj najpoważniejszym kandydatem na posła z Warszawy.



Chaos wyborczy w Warszawie: Jan Kucharzewski, kandydat zjednoczonych stronnictw.

Fatalny wypadek.

Fatalnemu wypadkowi uległa w tych dniach w Warszawie 17 letnia córka znanego poety Kazimierza Laskowskiego (Ela), p-na Mira Laskowska. Chcąc zawołać służącą, która wyszła na ulicę, wychyliła się z balkonu tak fatalnie, iż runęła na bruk z wysokości drugiego piętra. Gdy podniesiono nieszczęśliwą z ziemi, okazało się, iż p-na Laskowska ma złamane obie nogi i obojczyk, na szczęście jednak nie doznała obrażeń, któreby zagrażały jej życiu.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę ofiary tego fatalnego wypadku, który mógł skończyć się o wiele gorzej.



Fatalny wypadek: Panna Mira Laskowska.

Pedagog-wirtuoz.

Towarzystwo Muzyczne w Krakowie pozyskało obecnie nową wybitną siłę w osobie prof. Jana Ebell'a, który objął naukę na wyższym kursie klasy fortepianu. Prof. Jan Ebell urodził się w Petersburgu, gdzie też uczęszczał do gimnazyum a następnie na uniwersytet. Naukę gry na fortepianie pobierał początkowo w Petersburgu, a następnie w Paryżu i Berlinie u Józefa Hofmana i Leopolda Godowskiego. Kompozycyi uczył się u Rachmaninowa. Od dwóch lat koncertuje z wielkiem powodzeniem w Berlinie i Wiedniu, gdzie też imię jego dobrze jest znane nietylko jako znakomitego wirtuoza, ale także jako pedagoga. „Signale für die musikalische Welt" w Berlinie pisze o nim: „Jan Ebell posiada wszelkie warunki świetnego wirtuozostwa i między młodszymi pianistami należy mu się niezaprzeczenie miejsce w pierwszym rzędzie.

Nowy profesor konserwatoryum krakowskiego, który ma za sobą już tak chlubną karyerę artystyczną, da się poznać również szerszej publiczności krakowskiej, występując w piątek d. 4 b. m. z własnym koncertem w sali Starego Teatru.

Nad świeżą mogiłą.

Wśród nazwisk, które przewijały się w burzliwej historyi ostatnich lat Uniwersytetu lwowskiego, jedno z poważniejszych miejsc zajmuje nazwisko dr. Jana Jordana. Jako sekretarz Uniwersytetu, który to urząd objął po prof. dr. Alojzym Winiarzu, znany był i ceniony zarówno przez młodzież wszystkich obozów politycznych, jak też przez senat i kolegów. Przedwczesna śmierć nagle zabrała go, osierocając znowu Uniwersytet lwowski. Niedawno bowiem zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku jego poprzednik dr. Winiarz.

S. p. dr. Jordan przybył do Uniwersytetu z kancelaryi notaryusza Nartowskiego, gdzie pracował po skończeniu studyów uniwersyteckich. Rzutki i energiczny, szybko zapoznawszy się ze swymi obowiązkami, umiał nadać swemu stanowisku odpowiednią powagę, co w chwilach ciężkich przesileń, jakich widownią był Uniwersytet lwowski, było rzeczą wymagającą wiele poświęcenia się i zaparcia.

Dr. Jordan brał także żywy udział w życiu towarzyskiem Lwowa. Zaproszony na sekretarza Koła literacko artystycznego, cieszył się na tem stanowisku ogólną sympatyą.

Smierć jego przyszła niespodziewanie, a Uniwersytet lwowski ponosi stratę, którą nie prędko będzie mógł powetować.

Pogrzeb, który się odbył we wtorek, u trumn zmarłego zgromadził całe obywatelstwo lwowskie oraz szereg wybitnych osobistości ze świata politycznego.

W dzisiejszym numerze podajemy portret zmarłego.



Pedagog-wirtuoz: Pianista Jan Ebell, nowy profesor konserwatoryum krakowskiego.

Jubileusz zakładu gimnastycznego dra St. Fiszera w Warszawie.

(Do illustracyi na str. 4).

Pielęgnowanie sił fizycznych człowieka, a zwłaszcza młodego pokolenia, w myśl zasady: „zdrowa dusza w zdrowem ciele" stanowi dziś poważną troskę każdego społeczeństwa. Powstają też w tym celu coraz liczniejsze organizacye, których celem jest szerzenie zdrowego sportu lub racyonalnej gimnastyki. W Warszawie, gdzie brak ogólnej organizacyi tego rodzaju, ważną usługę oddają prywatne zakłady gimnastyczne. Jedna z takich instytucyi, Zakład gimnastyczny dra St. Fischera w Warszawie obchodził w tych dniach pięciolecie swego istnienia. Jubileusz ten, który odbył się bardzo uroczyście przy udziale delegatów z różnych stron kraju, zaczął się nabożeństwem, po którem nastąpił wielki popis gimnastyczny. Uroczystość zakończyła się wspólną wieczornicą.

Illustracya nasza przedstawia grupę uczestników tej jubileuszowej uroczystości.



Nad świeżą mogiłą: Pogrzeb ś. p. dra Jana Jordana we Lwowie.

NADESŁANE.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 38.

Logogryf:

H i p o p o t a m
D o n
J a w o r
A n d r z e j
P i ó r o
K u r t y n a
M a r s z a ł e k
Z a p a l e n i e
K o n e w k a
G o t y k
P l a n e t a
O s i k a
O s a
E g z e k u c y a

Zadanie do przestawienia: I mądry głupi, gdy go nędza złapi.

Zadanie do przestawienia: Wolno panu robić cukier nawet z chrzanu.

Szaoada: Hipopotam.

Zadanie do przestawienia: O wilku mowa, a wilk tu.

Szarada: Esperanto.

Trójkąt magiczny:

M a c A r t h u r
A d o r a t o r
C h a r b i n
A r o m a t
R z e p a
T a l k
H o p
U m
R

Zadanie do przestawienia: Miłość bez pieniędzy, wrota do nędzy.

Łamigłówka: Człowiek jest sam kowalem swego losu.

Logogryf literacki:

N a m a r n e
T u ł a c z e
O b r a z k i
K a n a r k i
W a t a ż k a
P a r a w a n
H u r a g a n

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: W. Kowalski Lwów, J. Wójtowicz Rzeszów, J. Orlińska Jaworów, J. Gruber Drohobycz, M. Różycki Lwów, E Dembiński Szczawnica, S Krzyżanowski Podgórze, M Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków I. Wiewiórowski Warszawa, H. Biesiadecki Kraków, J. Wincencik Kraków, M. Toporowski Lwów, J. Czarkowski Skierniewice, I. Gruszczyńska Wadowice, I. Zachara Mielec, K Rijałkowski Jasło, C. Wang Tarnobrzeg, L. Berezowski Nowy Sącz, T. Chrzanowski Suwałki, K. Galiński Sanok, S Mann Bochnia, A Barnat Złoczów, K. Malinowski Lwów, L. Bandrowski Częstochowa, K. Janik Drohobycz, M. Sadowska Poronin, M. Kapalski Tarnów, A. Trzeciak Krynica, J. Roland Kielce, W. Borkowski Kraków, J. Popiel Mińsk, T. Tichy Cieszyn, E. Mianowska Lwów, J. Cichoń Warszawa, K. Trojacki Wiedeń, S. Sokołowski Rzeszów, A. Wilczkiewicz Stanisławów, I. Zaleski Czerniowce, L Czerniecki Cieszyn, I. Brzostowski Podgórze, R Baluk Kołomyja, H Kamiński Lwów, S. Korytowski Janów, S. Samlicki Przemyśl, G. Świrski Piotrków, S. Nowacki Przemyśl, W. Piątek Podwołoczyska, D. Engelberg Rzeszów, J. Jakubowska Kraków, D. Sedyńska Zakopane, Z. Mazaraki Radom, T. Nikiel Kraków, S. Karwowski Pilzno, I. Gajewski Tarnów, R. Link Lwów, T. inalski Kopol, Tarn S. Stawarski Wiedeń, J. Kamocki Kalisz, J. Sperling Wiedeń, A. Biliński Tarnopol, K. Dulęba Lwów, M. Wyka Sambor, S. Kruszelnicki Janów, J. Strojek Tarnopol, H. Lasocińska Lublin, W. Fiala Kraków, K. Zapałowicz Wilno, S. Fukowski Kijów, W. Zawadzki Tarnów, F. Blätterfeind Jaworów, K. Więckowska Warszawa, K. Radomski Lwów, A Sistka Kraków, J. Obraczay Morawska Ostrawa, W. Potocka Kraków, S Karczmarski Kraków, M. Krawecki Radomyśl, L Ostrowski Petersburg, H. Schwarz Warszawa, S. Lindenbaum Czerniowce, K. Stumpf Stanisławów, R Aleksandrowicz Płock, J. Rachwalski Stanisławów, R. Majewski Lwów, K. Gadomski Zakopane, S. Kozarski Sichów, M. Klappholz Rzeszów, S Kozłowski Kraków, A. Augustynowicz Lwów, K. Kaim Kraków, S Kowalówka Kraków. S Bobrowski Lwów. R Reich Łódź, J. Jaglarz Tarnopol, J. Gans Lwów, F. Urban Kraków, M. Kadolski Oświęcim, J. Antosz Sanok, S Raczyński Rzeszów, W. Gliński Jaremcze, M. Wojakowski Petersburg, S Krysiński Częstochowa, D Staniszewski Lwów, K. Armatys Ulanów, L. Larger Kraków, M. Horak Oświęcim, M. Obst Łódź, E Niestenberger Zakopane, P. Madejski Wiedeń, M. Ligęza Lwów, K. Maresch Lwów, S. Łapiński Warszawa, H Mizerska Płock, T. Nikiel Kraków, F Schmidt Cieszyn, A. Gralewski Kraków, S. Lichański R dziwiłłów, S. Dubiel Krosno, K. Hoszowski Jaremcze, M. Scholz Rozwadów, T. Gottlieb Sambor S. Ścibor Mszana, A. Dużak Kraków, W. Kwaśniewski Opatów, A. Wojciechowski Kraków, M. Rosenbaum Rzeszów. J. Jahoda Cieszyn, L. Mróz Lwów, R. Cegielski Poznań, W. Lisowski Warszawa, S. Niżyński Lwów. I. Błachowski Szczucin, K. Zegartowska Bogucice, J. Topolnicki Kamieniec.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Raczyński, Rzeszów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Z „Cyrku Edison“: Nowy program (od dnia 4 października do 10 włącznie) nadzwyczaj urozmaicony i bogaty przynosi w pełnej humoru farsie produkcye słynnego Prince'a; kolorowane zdjęcie z natury przedstawia Barcelonę z jej cudownemi widokami i wspaniałymi budynkami. Wspaniały dramat z życia p. t. „Za późno“, porusza do łez i porywa prawdą przedstawienia. Drugi dramat „Opiekun“ oryginalny w pomyśle zadawalnia najwybredniejsze wymagania.

Z półek księgarskich.

Józef Nekanda Trepka: **Dobre gazeta.** I. Szczuwa d Kraków 1912 Nakładem wydawnictwa „Głosu Narodu“.

W sposób barwny a treściwy przedstawia autor, czego można dokazać u nas, na wsi, jeśli znajdzie się człowiek, który wziął sobie za dewizę: Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży, a całość sama się złoży. Niestrudzony proboszcz tamtejszy, ks. Siemieński powinien znaleźć wszędzie naśladowców.

Jan Piętka: **Z galicyjskiego bagna emigracyjnego.** Kraków. 1912. Nakład Autora.

W broszurce tej omawia Autor stosunki emigracyjne i podaje surowej krytyce działalność P. T. E. i jego kierowników.

Nr. IX. **„Słowa prawniczego“** wychodzącego w Krakowie pod redakcyą Dra Zygmunta MANDLA zawiera: Galicyjskie Izby handlowe a rozwój ustawodawstwa i piecza prawna. Konieczność reformy w nadzorze nad indykatura cywilną Ochrona ubezpieczonych. Od Redakcyi. Ustawa z 20 go lipca 1912. Dzpp. 141. zmieniająca ustawę karną z dnia 27-go maja 1912 Dz. pp. 117 Ustawa z 20-go lipca 1912. Dz p p 142 zmieniająca niektóre postanowienia procedury karnej

Zmiany osobiste w okręgu krakowskiej Izby adwokackiej. Książki nadesłane do Redakcyi. Ogłoszenia.

„Słowo prawnicze“ jedyne pismo polskie poświęcone zawodowym interesom palestry, dzięki doborowej treści artykułów i umiejętnej redakcyi, zyskuje w sferach prawniczych coraz większe uznanie.

Magazyn Bielizny Franciszka Martina
w Krakowie, Rynek gł. L. 6 (szara kamienica).

Poleca **pończochy, skarpetki** wełniane, bawełniane, „fil de conce" i jedwabne. Wielki wybór **krawatów** dla Pań i Panów. **Boa** z piór, **szale** jedwabne, gazowe i wełniane. **Halki** w rozmaitych jakościach i kolorach, **reformy** dla Pań oraz **kompletne wyprawy ślubne.** Towar doborowy! Ceny niskie!
(W niedziele i święta sklep zamknięty).

„APOLLO"

TEATR KABARET

W KRAKOWIE, ZIELONA 17

PROGRAM FAMILIJNY

od 1—15 października

Prof. Otto Trablé
telepatyczny Fenomen. Tylko 8 dni.

The Schaefers
akt akrobatyczny.

Józef Zejdowski
na ogólne żądanie prolongowany.

Karol Liebal
komik groteskowy.

Julia Wagner
polska śpiewaczka

Gita de Irol
Venus — La nu esthetique.

?? Maraba ??
cuda indyjskie.

Helena Sztorchówna
subretka polska.

Baronesa Bernegg
diwa operetkowa.

Maks. Lafayette
polski komik.

Ada Girola
śpiewaczka francuska.

Ferry Rosens Parisiana Ensemble
co 8 dni nowe sztuki.

Początek o godzinie 8-mej wieczór.

Ceny potraw i napoi są niskie.
Przy płaceniu
uprasza się zważać na cennik. Zażalenia należy zgłosić do Dyrekcyi.

KTO SZUKA
taniego źródła kupna artykułów użytkowych jak i artykułów na podarki niech zażąda kartką korresponden. bezpłatnego i franko od c. i k. nadwornego dostawcy
HANNSA KONRADA
w Brüx Nr. 4155 Czechy. katalogu bogato illustrowanego z 4000 odbitek, w którym każdy coś odpowiedniego
ZNAJDZIE
Zegarki niklowe kieszon. K 4·20
srebne „ 8·40
Budziki niklowe K 2·90. Zegary wahadłowe K 8·50. Zegary z kukułką K 8·50. Harmonie K 5·— Skrzypce K 5·80. Rewolwery K 6·— Towary manufakturowe, skórzane i stalowe w najbogatszym wyborze



Filia: ul. Hetmańska L. 6.
POLECA **CUKRY, CIASTA, TORTY, LODY**
pierwszorzędnej jakości, po cenach nader przystępnych. — Zlecenia z prowincyi odwrotnie nader starannie, opakowanie po cenie własnej.

Sami jesteście nieprzyjaciółmi
swych własnych pieniędzy, jeżeli kupujecie gotowy
RUM
i likiery, Altvater, allasz, kminkowy i t. p
Z moich znakomitych **essencyi** można bez trudu sporządzić sobie najlepsze likiery za połowę ceny.
1 flaszka wystarcza do
5 litr. I-a rumu lub
3 „ najl. Altvateru
lub też
3 „ najl. allaszu kminkowego
wraz z dokładnym przepisem użycia tylko K 1·20, wszystkie 3 flaszki razem tylko K 3—. Pojedyncze flaszki tylko za poprzedniem nadesł. należytości, także w markach listowych, od 3-ech flaszek także za zaliczką, franko do każdej stacyi pocztowej.
HITSCHMANN
wyrób esencyi
HUMPOLEC w Czechach 152.
Tysiące listów z uznaniem. Żadnych filii.

ZABAWKI

NA KAŻDY WIEK I PORĘ ROKU POLECA
STEFAN PORĘBSKI, KRAKÓW RYNEK L. 32

Pracownia bandaży wyłącznie **dla Pań i dzieci**
ZOFII WĘGRZYNOWICZ
w Krakowie, ulica Grodzka L. 9

PATHÉFONY



z tubami i bez tub, grają bez zmiany igły, szafirem, nie niszczą płyt. Są najdoskonalszemi instrumentami odtwarzającemi dwięki muzyki i gardła ludzkiego.
Olbrzymi repertuar! Katalogi darmo i opłatnie!
Artystyczna serya operowa na płytach 35 cm.
1) **Carmen**, na 27 płytach.
2) **Trubadur**, (nowość!) na 19 płytach.

Pathéfony AUTOMATY
dla restauratorów i koncesyonaryuszów stanowią poważne źródło dochodu i powiększają klientelę.
Przed sezonem letnim należy sprawdzić, czy aparat działa należycie, i w razie potrzeby przysłać do naprawy lub wysmarowania. Tylko aparat dobrze utrzymany i bez zarzutu działający zdoła trwale zadowolić posiadacza.

Stefan Grudziński i Tadeusz Berger
Kraków, ul. Szewska 22/2. — Telefon 305.

Kupujcie towary płócienne
z miejscowości **SPY!**
Proszę zażądać próbnej przesyłki za pobraniem należytości.

23 m. poszew w trwałych kolorach — **Rekordia** w czerw. lub niebieskie paski	Kanafas K 10·60
23 m. białego delikatnego płótna na koszule „**Iris**"	„ 11·—
1 tuzin białych płóciennych ręczników „Damast" Nr. 7	„ 6·—

z górskiej tkalni
Starek i Maschäne w Spy Nr. 10
Adlergeb. (Czechy).
Za nieodpowiadające zwracam gotówkę. — Poszczególne wzory darmo.

Zawiadamiam
P. T. Publiczność, że dnia 20 stycznia 1912
otwarty został
HOTEL MONOPOL
wraz
z Kawiarnią i Restauracyą
w Krakowie, przy ul. św. Gertrudy 6, tel. 405
dawniej **(Hotel Kleina).**
Hotel położony jest tuż naprzeciw plant obok głównej poczty, niedaleko przystanku kolei elektr. Pokoje świeżo odrestaurowane i na nowo z najwyższym komfortem urządzone.
Światło elektryczne. Ceny przystępne.
Z wysokiem poważaniem
Zygmunt Billet.



Baczność!
Precz z blagą.
Dla cierpiących na przepuklinę i to w najcięższych wypadkach bez najmniejszego bólu wprowadza i wykonuje według kanału przepuklinowego **pasy przepuklinowe.**
Jedyny zakład Bandażo-ortopedyczny
H. Bogdanowicza
Kraków, Floryańska 9 a.
Poleca również: **Sznurówki i pasy brzuszne, przyrządy do równania** różnych części ciała.
Dla Pań damska obsługa.
Na żądanie mogę przybyć osobiście.

LABORATORYUM
LEKARSKO-DENTYSTYCZNE
Uniw. Med. **Dr. Sabiny Weinberg**
Pomocnik techn.
Wilhelm Fruchtman
Wykonuje wszelkie roboty w zakres lekarsko dentystyczny i techn.-dentystyczny wchodzące
Ceny przystępne. Ulgi w spłatach.

„SZATNIA" spółka z ogran. odpow.
w Krakowie, ul. Sławkowska 14
POLECA **Na sezon jesienny i zimowy** obficie zaopatrzony skład ubrań męzkich
Wszelkie zamówienia wykonuje się według ostatniej mody szybko i wytwornie.
Specyalność: Ubrania sportowe! Ceny nader niskie!

Konrad Ściborowski
w Krakowie
Floryańska L. 13
obok firmy
(Skórczewski i Polakiewicz)
poleca **na sezon jesienny i zimowy:**
Płaszcze angielskie i pluszowe — Kostyumy — Szlafroki — Suknie, Bluzki jedwabne i gazowe — Kapelusze — Swetery — Czapki sportowe i wszelkie nowości w zakres towarów modnych wchodzące.

Ze świata kobiecego.

Na karnawał.

Wprawdzie jeszcze długich kilka tygodni dzieli nas od uroczych chwil, zwanych karnawałem, ale



Fryzura balowa, w stylu greckim.

moda lubi spieszyć się i wyprzedzać wszystko. Ona, jak hojna szafarka, rzuca naprzód pomysły i kombinacye, wynajduje nowości. nieraz w zdumienie wprawiające nasze modnisie. A spieszy się dlatego, aby każda z pań miała dość czasu na przygotowanie się do tak ważnego aktu, jak sprezentowanie nowej toalety lub fryzury.



Fryzura wieczorowa przybrana gronostajami, zielonym jedwabiem, oraz fantazyjną egretą.

I ja pragnę moje czytelniczki uprzedzić o tem, co moda nowego nam daje. To też dzisiejszy artykuł poświęcam opisowi nowych fryzur damskich, które tego roku w czasie karnawału będą noszone.

O ile rok ubiegły pierwszeństwo w ozdabianiu fryzur pozostawiał rajerom i wstążkom, o tyle obecnie moda oddaje władztwo i pierwszeństwo kwiatom. Po raz pierwszy może znajdzie szerokie zastosowanie kwiat, który dotychczas prawie nigdy nie był noszony, mianowicie georginia. Znany on u nas jako kwiat jesieni, obecnie dzięki kulturze ogrodowej zyskał odmiany delikatne i o świetnych barwach. I te właśnie znajdą zastosowanie przy upinaniu fryzur balowych, ma się rozumieć nie kwiaty świeże, gdyż tych w zimie niema, ale doskonałe ich imitacye, równie świetne w barwach i materyi.

Obok georgini do ubrania fryzur używane będą kwiaty kaktusu i róże w delikatnych odcieniach barw.

Zasadniczo widzimy wśród nowych fryzur dwa typy. Pierwszy typ stanowią fryzury, gdzie włosy z przodu uczesane są w szerokie karby, zbiegające lekko ku tyłowi głowy, gdzie tworzą wielki węzeł grecki. Wielkie, wygięte grzebienie trzymają upięcie po bokach głowy. Drugi typ przedstawia fryzurę małą, z przodu głowy możliwie skromnie zaczesaną, nad uszami tworzącą kilka podłużnych karbów, a zakończoną w tyle fantazyjnem upięciem, bądź w długie loki, co zwłaszcza dla młodych panien jest wskazane, bądź w nisko osadzony czepiec, lub skombinowaną lecz dosyć płaską fantazyę. Zasadniczo zarówno fryzury typu pierwszego jak i drugiego winny być dosyć skromne, a właściwą ich ozdobą są dodatki t. j. kwiaty, przypięcia lub rajery.



Fryzura do teatru, ubrana materyą jedwabną stalowo-srebrną, z pomarańczowym rajerem.

Illustracye dzisiejsze dają szereg odmian takich różnych fryzur.

Dla brunetek doskonale nadaje się fryzura, przybrana brokatem; kawał materyi brokatowej, usiany perłami, upięty jest wokoło głowy wąskim paskiem, tworzącym z przodu piękne przepięcie zakończone rajerem.

Wspaniałą jest wieczorowa koafiura, której główną ozdobę tworzy zgrabna czapeczka z gronostai przepięta złotą fantazyjną egretą.

Bardzo poważnie wygląda, jak zwykle, stylowa fryzura grecka, która o ile upięta jest z pięknych włosów, nie potrzebuje żadnych dodatków, prócz kwiatów chyba. Ale zauważyć należy, iż fryzura ta wymaga także odpowiednich rysów twarzy i nie każda z naszych pięknych dam będzie w niej dobrze wyglądała.

Dla panien najodpowiedniejsze do ubrania fryzury są róże. A moda obecna nie każe ich skąpić. Można główkę przybierać całymi ich wianuszkami, a najefektowniej wyglądają, jeśli nie są wszystkie w jednym kolorze, ale dobrane w odcieniach od jasnego do ciemnego. Georginie, zwłaszcza purpurowe, nadają się doskonale dla brunetek, lub bardzo jasnych blondynek.

Panienki, te najmłodsze, które dopiero w tym karnawale na lekcye tańca pójdą, mogą czesać się w piękne loki, spadające z tyłu na karczek. Z przodu włosy winny być gładko zupełnie zaczesane ku tyłowi. W około głowy zaś obiega przepaska z jasno-



Fryzura balowa dla panien, przybrana wiankiem róż.

niebieskiego jedwabiu, z lewego boku spięta małą wiązką niebieskich kwiatów.

Zasadniczo więc moda nadchodzącego karnawału przyjdzie do nas pod znakiem kwiatów. Powitać ją należy z uznaniem i szczerą radością, gdyż nic tak nie zdobi główek kobiecych, jak kwiaty.

W.



Fryzura balowa przybrana brokatem, haftowanym perłami i rajerem.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

10

— Przemawiał pan bardzo pięknie, ale zupełnie bezużytecznie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że mówił pan do Francuza.

Mówca podskoczył:

— Do Francuza?!

— Tak... Powinien pan wiedzieć, że każdy, kto chce się dostać do nas, wejść w nasze szeregi, musi okazać kelnerowi, który go obsługuje legitymacyę.

— Jaką?

— Taką.

Mówiąc to, ten, którego nazwano „mistrzem", pokazał pocztówkę z odbitą na niej kwitnącą gałęzią ostrokrzewu.

— Roślina Niemiec — rzekł mistrz — a tu w rogu podpis szefa sekcyi niemieckiej dzielnicy Paryża, w której nowoprzybyły mieszka.

Mówca skłonił się.

— Proszę mi darować, kelner posadził go przy nas, sądziłem więc...

— To ja dałem znak kelnerowi, żeby go tam posadził. Przypuszczałem, że potraficie go wybadać, kim jest i po co tu przybył. Myślałem, że nie zapomnieliście, że jesteście tutaj nie tylko dla robienia interesów!

„Mistrz" odwrócił się, przeszedł przez salę i usiadł przy stoliku, stojącym w głębi, w rodzaju niszy, a przy którym siedziało jeszcze czterech mężczyzn.

— Co za głupcy — rzekł do nich szeptem. — Ani za grosz sprytu i przenikliwości! Pomyśleć, że z takich elementów składa się wielki naród niemiecki. Potrafi wszystko sfałszować, podrobić, potrafi skopiować każdy artykuł przemysłu francuskiego. Ale zawsze będzie mu brakowało sprytu i subtelności...

— To my posiadamy — rzekł jeden z siedzących przy stoliku.

— Tak, to też niesłusznie nazywają was Niemcami Azyi — odparł mistrz, zwracając się do mówiącego.

Człowiek ten uśmiechnął się ironicznie, skośne jego oczy płonęły żywym ogniem. Był to Japończyk. Wkrótce potem towarzystwo to opuściło piwiarnię. Ten, którego mowca nazwał mistrzem, odprowadził na bok Japończyka i rzekł doń:

— Drogi hrabio, zdaje mi się, że mogę teraz powiedzieć stanowczo, że ten młody Niemiec jest jednym z ludzi Paulina Brcquet'a.

— Ależ ja nie wątpiłem o tem ani przez chwilę — odparł hrabia Toromaki. — Jutro dostarczy mi pan szczegółów tej sprawy... polecam ją panu.

I Japończyk odjechał wraz z dwoma innemi.

Mistrz zwrócił się do tego, który pozostał przy nim.

— Przygotowałeś wszystko?

— Tak jest, mistrzu.

— Człowiek?

— Jest w bezpiecznem miejscu... u siebie. Jego miejsce jest wolne.

— Dobrze... Ubranie?

— W pańskim powozie.

— Informacye o przybyciu Brcquet'a?

— Brcquet jest śledzony... otoczony ze wszystkich stron. Uprzedzą pana, gdy się będzie zbliżał.

— Doskonale... Chodźmy!

Dwaj mężczyźni przeszli ulicę de Paradis, weszli w pasaż des Petites Ecuries, minęli go i skręcili w jeden z ciemnych zaułków, gdzie oczekiwał na nich automobil. Mistrz wraz z swym towarzyszem wsiedli do powozu, by oczekiwać wiadomości o Paulinie Brcquecie.

ROZDZIAŁ XXXI.

Fritz.

W tym samym czasie detektyw wchodził na ulicę de Paradis, prowadząc ze sobą na smyczy Fritza. Paulin Brcquet przebrany był i ucharakteryzowany nie do poznaniu. Nie przebrał się jednak za Niemca. Wiedział, że w tej dzielnicy niemieckiej wszyscy stali bywalcy kawiarniani znają się między sobą i każdy nowy przybysz może łatwo zwrócić na siebie uwagę. Paulin Brcquet przebrał się więc za mieszczucha paryskiego, który mieszkał w tej dzielnicy i zaszedł do piwiarni na bombę piwa, które tu musiało być dobre. Nikogo to nie mogło dziwić, bo Paryżanie często zaglądali do tej dziwnej dzielnicy, by dla rozmaitości, przyglądać się Niemcom, spróbować ich potraw i napojów. Wiedział o tem detektyw i — obierając strój mieszczucha — był pewny, że nie zwróci na siebie zbytniej uwagi.

Ponieważ Fritrz ostrzyżony i ufarbowany, zmieniony był również nie do poznania, więc detektyw szedł spokojnie ulicą de Paradis w stronę piwiarni luksemburskiej, czekając aż pies wskaże mu jednego z dawnych przyjaciół Schmitta.

Na ulicy o tej godzinie było dużo przechodniów, powracających z okolicznych teatrów, kinematografów, sal koncertowych. Fritz jednak szedł spokojnie, nie okazując najmniejszego zainteresowania się jakimkolwiek z przechodniów. Właściwie wlókł się za detektywem, z opuszczonym łbem i podniesionym ogonem, ujawniając wyraźną niechęć do spaceru tego rodzaju. Paulin Brcquet musiał go formalnie ciągnąć za sobą.

W pewnej chwili jednak Fritz ożywił się nagle, podniósł głowę, nastroszył uszy i wymachując ogonem, skoczył naprzód, ciągnąc za sobą detektywa. Paulin Broquet, naturalnie, pośpieszył za psem, ciesząc się, że nadzieje nie zawiodły go i że będzie mógł zapisać coś ciekawego. Fritz od czasu do czasu opuszczał łeb, węsząc chodnik, wciągał głośno powietrze, poczem wyrywał się coraz silniej.

Detektyw przyśpieszał kroku.

— Musi czuć świeży ślad — mruczał pod nosem — jakiegoś człowieka, który był bliskim jego pana, albo też poznał miejsce, gdzie często bywał ze swym panem.

Gdy znajdowali się o kilkanaście kroków od piwiarni luksemburskiej, Fritz począł podskakiwać, machać gwałtownie ogonem i wesoło szczekać. Przed piwiarnią stało dwu mężczyzn, żywo dyskutując. Jeden z nich namawiał drugiego, by wszedł z nim na szklankę piwa, tamten odmawiał stanowczo. Rozmawiali po niemiecku! Fritz bez wahania poskoczył ku temu, który nie chciał pić piwa.

— Hm — pomyślał Paulin Broquet — chyba Fritz nie chce przez to okazać, że zgadza się z poglądami tego jegomościa na szkodliwy wpływ alkoholu...

Pies tymczasem obwąchał nieznajomego i przekonawszy się widocznie, iż się nie pomylił, podniósł się na tylnych łapach i szczekając wesoło i przyjaźnie, oparł przednie łapy na jego spodniach.

ROZDZIAŁ XXXII.

Przyjaciel zwierząt.

Nieznajomy zdawał się być bardzo zdziwiony temi oznakami przyjaźni psa, ale jednocześnie nieco niezadowolony.

Fritz miał zabłocone łapy i karesy jego zostawiły na ubraniu nieznajomego plamy. Nie okazując jednak złego humoru, człowiek ten pogładził Fritza i powinszował detektywowi, że ma tak miłego i mądrego psa. Oznajmił, że jest wielkim przyjacielem zwierząt i że było mu bardzo miło, iż wzbudził w tym wiernym przyjacielu człowieka takie zaufanie.

Mówił z wyraźnym akcentem, którego nigdy nie może się pozbyć Niemiec, mówiący po francusku.

Paulin Broquet był zadowolony... Miał to, czego pragnął... Dzięki Fritzowi odnalazł jednego z tych ludzi, których poszukiwał z takim nakładem pracy nadaremnie... Był tego zupełnie pewny, nie wątpił, że stał przed nim jeden z najbliższych przyjaciół Schmitta.

Schylił się i wziął na ręce psa, który w dalszym ciągu chciał się łasić do nieznajomego.

— Mój pies — rzekł Paulin Brcquet — przeczuł, że pan jest przyjacielem zwierząt... Zna pan psy i lubi je pan, daruje więc pan mojemu, że powalał panu ubranie...

— A, naturalnie, niema o czem mówić — odparł nieznajomy, klepiąc Fritza po głowie — kiedy się lubi psy, tak jak ja, nie zwraca się uwagi na takie drobnostki. Zresztą, parę pociągnięć szczotką i śladu z tego nie będzie.

Po wymianie jeszcze kilku słów, detektyw, przyjrzawszy się dobrze nieznajomemu, oddalił się, trzymając ciągle psa na ręku.

Fritz wyrywał się i piszczał, ale Paulin Broquet nie zwracał na to uwagi... Nie miał już po co iść do piwiarni luksemburskiej, znajdowali się tam Hermann i l'Amorce, którzy powinni byli wybadać ten zakład i jego gości... Detektyw więc wziął na siebie śledzenie nieznajomego, któremu Fritz okazał taką przyjaźń.

Nie było to trudne.

Nieznajomy, oparłszy się stanowczo namowom na szklankę piwa, przeszedł na chodnik po drugiej stronie ulicy; udał się w tym samym kierunku, co i detektyw. Szedł szybko, wielkiemi krokami, tak, że prześcignął Paulina Brcquet'a, który zresztą szedł powoli i w pewnej chwili zatrzymał się, długo zapalając papierosa.

Wówczas detektyw poszedł za nim, starając się nie stracić go z oczu. Śledzony szedł szybko, jak człowiek, któremu się śpieszy. Przeszedł w taki sposób całą długość ulicy de Paradis i wszedł na przedmieście Saint-Denis, poczem skręcił w małą zaciszną uliczkę de la Fidelité. Tu zatrzymał się przed jednym z domów i zadzwonił. Otworzono mu natychmiast i nieznajomy znikł w sieni, zamykając drzwi za sobą. Paulin Brcquet został na ulicy. Zanotował sobie numer domu, do którego wszedł nieznajomy, poczem schowawszy psa pod płaszczem, czekał, żeby zobaczyć, w którem oknie zaświeci się.

Czekał jednak naprożno. W żadnem z okien frontowych nie pokazało się światło.

— Dobrze — mruknął do siebie detektyw — ten człowiek mieszka od podwórza.

Poczem odszedł. Podczas tej całej wyprawy Paulin Brcquet musiał się nabawić kataru, gdyż odszedłszy kilka kroków kichnął głośno parę razy. W chwili, gdy wyjmował chustkę od nosa, jakiś człowiek, idący naprzeciw niego, kichnął w podobny sposób. Dochodząc do detektywa rzekł szybko:

— Hermann chce się z panem widzieć. Poznali go w piwiarni.

— A! — rzekł Paulin Broquet — dobrze. — Pilnuj tego domu, przyślę ci kogoś do pomocy.

— Dobrze, panie szefie!

I podwładny detektywa począł przechadzać się kolo domu, gdzie mieszkał nieznajomy, który nie pił piwa i który tak lubił zwierzęta.

ROZDZIAŁ XXXIII.

L'Amorce opowiada.

Paulin Brcquet wiedział, gdzie szukać swych ludzi. W pobliżu skweru Montholon, na jednej z sąsiednich maleńkich uliczek, znajdował się niewielki, skromny bar, otwarty przez całą noc. W barze tym, za główną salą dla gości, znajdował się mały pokoik, przeznaczony dla przyjaciół i znajomych właściciela baru, pana S-tier, który, nawiasem mówiąc, był w bliskich stosunkach z prefekturą policyi.

W tym to lokalu Paulin Brcquet wyznaczył spotkanie swym podwładnym.

Herman był już na miejscu i zdał raport ze swych czynności. Opowiedział, iż przyjęto go jako rodaka i rozmawiano z nim z początku szczerze, a potem poznano go.

— Przedsięwziąłem, panie szefie, wszystkie środki ostrożności. Jestem pewny, że żaden z Niemców nie poznał mnie, traktowali mnie jak swego. Dopiero jakiś człowiek, który siedział osobno w niszy, wdał się w sprawę i zdradził mnie. Nie widziałem go dobrze, gdyż rozmawiając z Niemcem, który siedział ze mną, tak stanął, że nie mogłem dojrzeć jego twarzy.

— Więc obawiał się, że go możesz potem poznać? — zapytał detektyw.

— Tak sądzę. W każdym razie widać było, że nie chciał, bym mu się mógł przyjrzeć.

— Jednakże, gdy wychodził ze swymi towarzyszami, dojrzałem w lustrze jego oczy... Były to oczy żywe, błyszczące, drwiące... Przypominały one drwiący wyraz oczu masek japońskich...

Paulin Brcquet, słuchając, skrobał się w głowę.

— Ten wzrok, panie szefie, ten wzrok... widziałem go już nieraz... gdzieindziej. Jeden tylko człowiek posiada ten wzrok...

Paulin Brcquet przerwał mu gwałtownie:

— Nie wychodź w opowiadaniu poza granice piwiarni luksemburskiej.

Herman skłonił się i dokończył opowiadania.

Jeszcze mówił, gdy podszedł L'Amorce, który od jakiegoś czasu znajdował się już w pokoju.

— Panie szefie — rzekł — w piwiarni luksemburskiej był także Japończyk.

— Japończyk?

— Tak, panie szefie, Japończyk. O ile się nie mylę, hrabia Toromaki.

Paulin Brcquet zmrużył oczy i znowu począł skrobać się w głowę.

— Podczas gdy Herman udawał młodego Niemca — ciągnął L'Amorce — ja, przebrany za urzędnika, przeglądałem pisma ilustrowane i piłem piwo. Siedziałem w pobliżu tej niszy, o której wspominał Herman, widziałem tych ludzi w lustrze i słyszałem, co mówili. Rozmawiali po angielsku, nie chcąc widocznie, żeby ich rozumieli sąsiedzi. Na szczęście znam angielski. Otóż rozpoczął rozmowę Japończyk, wychwalając pana, panie szefie.

— Paulin Brcquet — mówił — jest groźnym przeciwnikiem. To, co uczynił, warte jest najwyższego uznania. Zważcie panowie, iż człowiek ten w Paryżu, w olbrzymim Paryżu, w przeciągu kilkunastu godzin, nie mając żadnych śladów, żadnych wskazówek, prócz odrobiny proszku magnezyi, znalazł człowieka, który fotografował dokument i odnalazł kliszę tego dokumentu.

Ten, do którego to mówiono, wzruszył ramionami.

— Tak — odparł — znalazł człowieka, który fotografował nasze dokumenty, odkrył jego laboratoryum, pewne papiery, bardzo kompromitujące, tak. . Ale nigdy, możecie tego panowie być pewni, nigdy Paulin Brcquet nie dowie się, dlaczego ten człowiek był zamordowany i dlaczego znaleziono go w przebraniu James'a Benamola i w mieszkaniu tego ostatniego.

— A! — rzekł Paulin Brcquet — i cóż na to odpowiedział Japończyk?

Japończyk odrzekł na to:

— Być może, iż Paulin Brcquet nie przywiązuje do tego najmniejszej wagi i że narazie przynajmniej są ważniejsze rzeczy do załatwienia. A poza tem, kto wie, może ma nadzieję, że kobieta da mu potrzebne szczegóły...

Towarzysz Japończyka roześmiał się:

— Jeżeli liczy na to, to się grubo myli!

— Kto wie? — rzekł Japończyk.

— Ta kobieta jutro umrze!

— Jeszcze nie umarła, może będzie żyła...

— Niech żyje... Mimo to nie będzie mogła ani mówić, ani pisać. A gdyby nawet mogła, przerażenie nie pozwoli jej odsłonić tajemnicy.

Japończyk pokręcił głową i rzekł.

— Nic w świecie nie przeszkodzi kobiecie mówić!

— Dajmy temu spokój — odparł tamten z niezadowoleniem. — Wróćmy do Paulina Brcquet'a. Otóż nie dowie się on nigdy, czy klisza, którą odnalazł w tak genialny — pańskim zdaniem — sposób, była jedyną, czy nie istnieją inne jeszcze klisze... Wreszcie nie dowie się, czy fotografie dokumentu przesłane są już zagranicę... I gdyby tak się stało, nic by nie pomogła nadzwyczajna zręczność i genialność Paulina Brcquet'a.

Japończyk tym razem przyznał mu słuszność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył J. S ymane , Nowy Sącz.

Znaleźć nazwiska autorów niżej wymienionych dzieł. Początkowe ich głoski czytane z góry na dół utworzą imię i nazwisko p skiego ka nodziei.

D ryn ?
R r m?
N Abydo ?
u ?
?
m ?
Pr ?
u z o d K m?
e e z Sa ?
o L u ?
Z a?

Zadanie konikowe.

Ułożyła K. Sz m ńska, Ra a R ka

Litery p ą zon skok m konika utworzą znane przysłowie.

	u	
g		
e	t	
m	w	k
n	i	

Szarada.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Pierwsza, jest to leśne zwierzę,
Druga u od ci wiązania,
Trzecia on W sze h nu tuje.
A *wszystko* tam nazwę bierze,
Gdzie j sień koniec znajduje.

Bilety wizytowe.

Ułożył Cz Kozłowski, Warszawa.

Z it mi n i nazwisk ułożyć zatrudnienie, ewentualnie godność tych osób:

URBAN MEI SZADOW

US W Ł TIR AKIN

R ER E LA PASZEN

Logogryf.

Ułożył Jan S m nek Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o pod nem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, poda n m imię i nazwisko twórcy p zeg gl bu a

□ — — — —
□ — — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Ma sz łek francuski 2 Śpewa zka 3 Moneta rosyjska. 4 Instrument. 5. Imię żeńskie 6 Gatunek nietoperza. 7. Poli yk niemiecki 8 Br bstwo w połu ni wej Anglii 9 reta niemiec i 10 Najmniej rozw ę e zwierzę 11 Dramaturg 12 Moneta niemiecka

Trójkąt magiczny.

Ułożył Jan Szymanek, Stary Sambor.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy utworzy nazwisko polskiego literata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□
□

Znaczenie wyrazów: 1 Sztuka y wyraz 2 Przed łata. 3 Z i m r 4 Przedpłaciciel 5 Napój 6 Imię męskie. 7. Na ój. 8. Imię męskie. 9 Zaimek. 10. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. S ymanek, Nowy Sącz

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: W. P. I n mucha kuje konie

Szarada.

Ułożył J. B y n, Warszawa

N t tkn który ę zawozi na *trzecią-drugą*, zn jdzie się *trzecia-czwarta*. Pat zysz po d odze pięk a *druga-trzecia-czwarta*. es się dobrze. choć ci z nieb n e o d e *pierwsza-czwarta*. Myślisz , przydałaby się *wszystka* i był by nam wesoło

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Krocz! Dwa pola Ewy

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *M. Srokowskiego:* **Anachron ści, rom ns**

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego